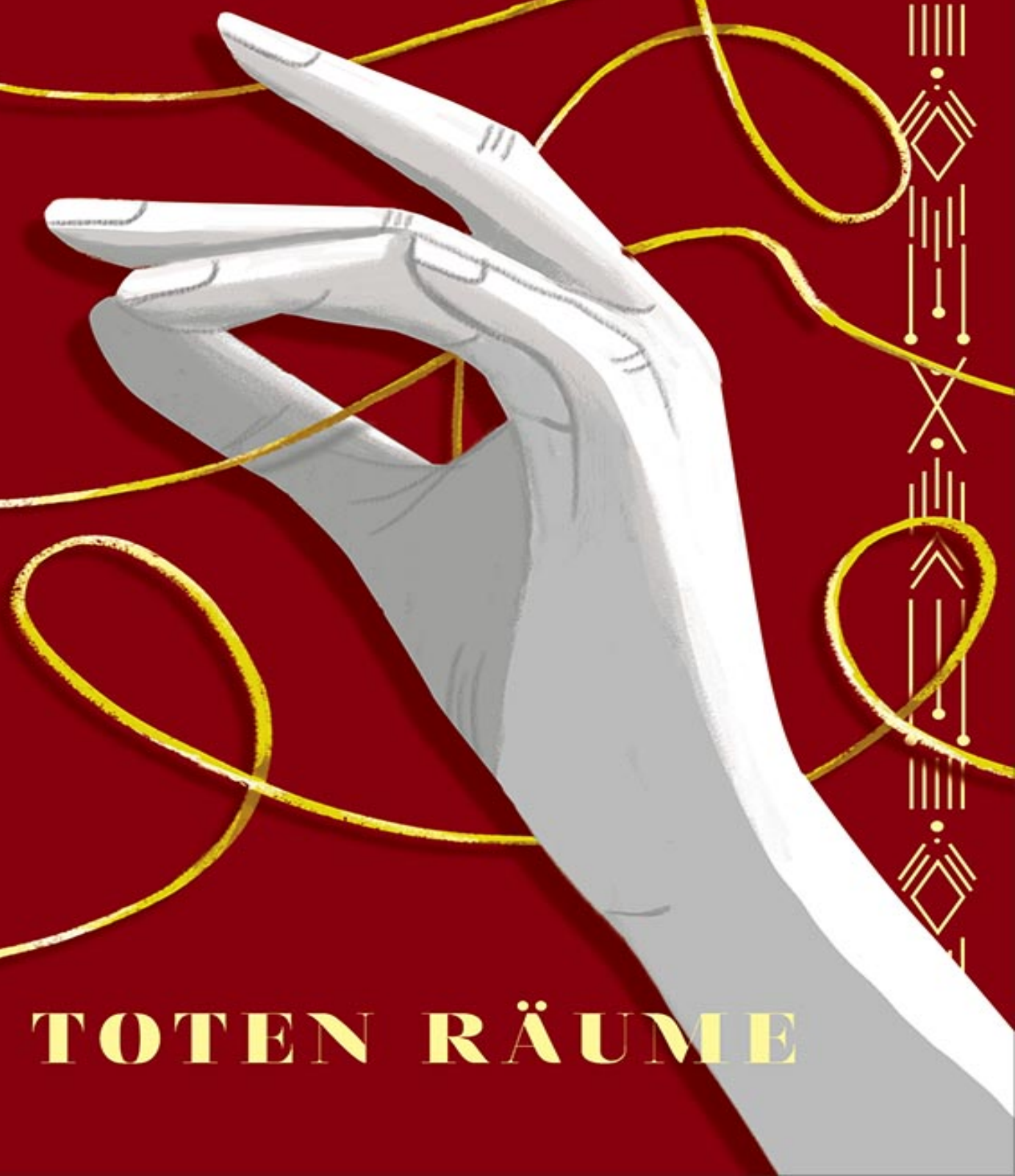


MARTHA

KISTEIL



M

TOTEN RÄUME



M A R T A

KISIEL

TOTEN RÄUME



|||

|||

SPIS TREŚCI

[Toten Räume](#)

Toten Räume

– Święta to utrapienie – orzekła cierpko Matylda Bolesna, spoglądając na rodzeństwo z głębin ciemnego korytarza. – Dziękuję, nie praktykuję.

Za oknem wciąż panowały ciemności, kiedy ze snu wyrwał ją rumor, hurkot i łoskot nie z tej ziemi. Gdyby sądzić po tych dźwiękach, stary dom jak nic walił się od czubka wieżyczki aż po fundamenty. Ale nie. Przedwojenny budynek stał niewzruszenie na swoim miejscu. To tylko Salka Przygoda i jej młodszy brat Niedaś zbierali się właśnie do wyjazdu w rodzinne strony, znosząc z piętra bagaże.

Był kwadrans po piątej. Bardzo wczesny wigilijny poranek.

Kiedy pani Matylda wyłoniła się ze swojego pokoju, Salka walczyła z zimowym butem, a jej brat próbował wyłowić właściwą kurtkę spośród mnogości wiszących w korytarzu okryć. Wszystkiemu przyglądała się pani Jaga w pstrokatym jedwabnym szlafroku, obracając w palcach zapalniczkę. Na podłodze przed drzwiami wejściowymi piętrzyły się dwa plecaki, podręczna walizka, wiklinowy kosz w celofanie zwieńczonym kokardą, mniejsza torba z prowiantem na drogę oraz większa, niebieska, równie ważna, bo z prezentami.

Czy to wskutek wczesnej pory, czy to wrodzonej wady intelektu, czy też unikatowej kombinacji obydwu tych czynników Niedaś uznał za stosowne zapytać starsze panie, jakie mają plany na najbliższe dni. Odpowiedź pani Matyldy zaskoczyła go niezmiernie.

– Ale przecież święta to taki radosny rodzinny czas... – zdążył jeszcze bąknąć, zanim wprawny łokieć siostry trafił go celnie między żebra. – Ej, za co?! – zaprotestował żywo chłopak.

– Dopiero co pochowały siostrę, w ogrodzie dynda im ojciec nieboszczyk, a ty wyjeżdżasz z rodzinnym czasem?! – wysyczała Salka na długim wydechu. Pojemność płuc miała imponującą.

– Fakt. Lekka wtopa.

– Tak, lekka jak twój dowcip. Mógłbyś w końcu dorosnąć, wiesz?

– No ej, siostra, czynię progres. Ja go nieustannie czynię!

Salka zdusiła narastający w gardle bulgot. Od miesiąca dręczyły ją wyrzuty sumienia, że po tych tarapatach, jakie sprowadzili niechcący na siostry Bolesne, teraz zostawiają panią Matyldę i panią Jagę na tyle dni. I to jeszcze w takim momencie, w Boże Narodzenie! Zastanawiała się nawet – przez krótką chwilę – czy nie ściągnąć rodziców i babci do Wrocławia i zebrać przy świątecznym stole Bolesnych razem z Przygodami. Siostry szybko wybiły jej ten pomysł z głowy, oświadczając, że limit zarówno przygód, jak i Przygodów w ich życiu został chwilowo wyczerpany, prosiłyby zatem o nieco spokoju. Dla odmiany.

Cóż, tu Salka musiała im przyznać rację, przestała więc kombinować i szybko kupiła dwa bilety na pierwszy poranny pociąg do domu. I teraz bardzo gratulowała sobie tej decyzji. Trzepnęła brata motywująco, żeby się przymknął i skoczył na jednej nodze do kuchni po pojemnik z pierniczkami, którego prawie udało im się zapomnieć. Rodzeństwo zebrało manatki i pożegnawszy się z siostrami Bolesnymi, pognało na przystanek tramwajowy.

Pierwszy raz od miesiący w domu przy alei Lipowej pięć zapanowała cisza.

Pani Jaga zamknęła drzwi za młodymi i spojrzała za siebie. W korytarzu została jedynie ciemność – również Matyllda zniknęła gdzieś wraz ze swym niezadowolaniem. Zapewne wróciła do siebie, by nurzać się w samotności i świętym spokoju.

Niedoczekanie.

Kwadrans potem pani Jaga wparowała do pokoju starszej siostry. Tak jak sądziła, Matyllda nie spała. Gdy coś ją wybudziło na dobre, nie potrafiła już zmrużyć oka.

– Wyobraź sobie, Matylldo, że młodzi się zmówili – zaczęła Jaga Bolesna, umieszczając tacę na stoliczku pod oknem. Nalała im mocnej herbaty z dzbanka. Jedną filiżankę wraz z pierniczkami postawiła na szafce nocnej przy łóżku siostry, a sama rozsiadła się z drugą w fotelu. – Wszystko beczelnie podsłuchałam. Otóż Basia wpadnie do nas z wizytą w pierwszy dzień świąt, Bartek w drugi. Wiesz, niby tak przypadkiem, żebyśmy nie były same jak palec w otworze wiadomym, bo jeszcze nam ostatnie trybiki puszczą. Uwierzysz, Matylldo? Ta dzisiejsza młodzież jest naprawdę beczelna. Jakbyśmy miały po dziewięćdziesiąt lat! – Odstawiła filiżankę i sięgnęła po korzenne ciasteczko. Na moment przymknęła z lubością oczy. – Ale pierniczki Salka zrobiła wyborne. Spróbuj.

Matyllda wydała z siebie pogardliwe prychnięcie. Siedziała w łóżku, z dłońmi splecionymi przed sobą na kołdrze.

– A daj ty mi święty spokój z pierniczkami. Mam po nich zgagę.

– To nie zgaga, to charakter. Na to już nic nie poradzimy. Ale zawsze możemy ubrać drzewko – podsunęła kusząco Jaga. – Albo chociaż stroik z gałązek. Wiesz, w galerii jest taki sklep typu szwarc, mydło i powidło, że oczopląsu człowiek dostaje. Kupiłam tam

łańcuch ze światełkami w kształcie śnieżynek. No dobrze, może dwa. Pięknie by rozświetliły ten twój grobowiec.

– *Vanitas vanitatum et omnia vanitas**.

– Łacina. Oczywiście. A kiedyś tak lubiłaś święta.

– Nie sędzę.

– Och, Matylde. Bujać to my, ale nie nas. – Pani Jaga założyła nogę na nogę i obrzuciła siostrę kpiącym spojrzeniem. – Przyznaję, dość łatwo można ulec złudzeniu, że przyszłaś na ten świat zgorzkniała i pomarszczona i już w kołysce chłostałaś ludzkość łaciną z idealnie starożytnym akcentem. Ale przypominam, że dawno temu ty również byłaś dzieckiem.

– I co w związku z tym?

– Ano to, że wszystkie dzieci lubią święta, a ty nie stanowiłaś pod tym względem chlubnego wyjątku – wytknęła Jaga z satysfakcją siostrze. – Razem z nami biegłaś na Kindelmarkt, robiłaś ozdoby z kolorowego papieru i wypatrywałaś powrotu papy z drzewkiem, a na kluskę makową czekałaś już od września.

– Wielce wątpliwe – odparła sucho Matylde ze swych pieleszy – jeśli zważyć, że nie cierpię maku.

– To kto zawsze tak czekał na kluskę makową? – zdumiała się szczerze pani Jaga.

– Zapewne ty.

– A wiesz, że możliwe! Tak. Nawet bardzo możliwe. Myślisz, że znajdę gdzieś przepis? Zjadłabym taką kluskę.

Matylde Bolesna przewróciła oczami.

– Czy ty czegoś ode mnie chcesz? Poza doprowadzeniem mnie do irytacji już o piątej nad ranem? Ani mi się waży tu smrodzić papierochami!

Jaga wydała z siebie wymowne westchnienie, schowała jednak papierośnicę z powrotem do kieszeni szlafroka. Jak to szło? Pokój ludziom dobrej woli?

– Chcę przez to powiedzieć, Matyldo – odparła pojednawczym tonem – że miło by było spędzić tegoroczne święta bardziej razem niż osobno. Kto wie, czy za rok będziemy jeszcze we dwie pod tym dachem.

– A czy twoim zdaniem ja się dokądś wybieram?

– Och, nie śmiałabym na to liczyć! Znając moje szczęście, zostaniesz tu nawet po śmierci i będziesz mi lagować internet w kluczowych momentach. Albo straszyć adoratorów. Również w kluczowych momentach.

– Bez obaw, tę przyjemność pozostawię tobie – ucięła Matylda Bolesna, po czym oparła głowę o poduszkę i opuściła ciężkie powieki. – Zamknij za sobą, proszę.

Jej uszu dobiegło ciche przeciągłe westchnienie siostry, a potem ledwie słyszalne kroki i wreszcie dźwięk zamykanych drzwi.

Być może tak było. Być może kiedyś wypatrywała z zachwytem pierwszej gwiazdki na niebie, splatała ozdoby z kolorowego papieru i nakrywała do świątecznego stołu. Może nawet, gdy była starsza, taszczyła wonną gęstą jodłę z samego Neumarktu, chociaż matka się burzyła, że tak nie wypada, że kto to widział, by panienka z dobrego domu wędrowała pieszo przez pół miasta, ciągnąc za sobą choinkę na dziecięcych sankach.

Być może tak było. Być może kiedyś to kochała.

Tyle że teraz nie miała sił na tę całą radość i krzątanie. Ani sił, ani ochoty.

Lecz gdy jej umysł pomału osuwał się w letarg na granicy jawy i snu, mimowolnie przypomniła sobie pewne święta sprzed wielu, naprawdę wielu już lat. Święta, które zmieniły wszystko.



1945

Wszystko ucichło.

Zastygło.

Zmartwiało.

Ludzie dźwigali w milczeniu swoje tobołki i swoje historie przez zrujnowane miasto. Sunęli koleinami, chociaż co rusz musieli przez to nadkładać drogi. Ale gdzie przebiegały koleiny, tam nie było min, tam nic nie czyhało pod gruzem i popiołami. Co rozsądniejsi trzymali się więc posłusznie przetartego szlaku, który kluczył, omijając leje po bombach i zapomniane barykady z tramwajów, mebli i desperacji, wił się resztkami ulic w cieniu kamienic rozszarpanych na strzępy, odartych z żywej tkanki do cna, do gołych kości. Ci mniej rozsądni nieśli się daleko.

Trzy panny miały dość rozumu, żeby nie szukać przygód.

Pierwsza, choć taszczyła największy tobołek, nadawała tempo pozostałym. Druga, idąca parę kroków za nią, nie odstępowała szpakowatej kobiecie, wyraźnie już zmęczonej tą niekończącą się wędrówką. Trzecia panna została daleko w tyle. Szła znacznie wolniej, ostrożniej, wspierając się na lasce.

Naraz przez gruzowisko przetoczył się niski żaloszny jęk. Idąca na przodzie panna stanęła jak wryta i zadarła głowę. Żółte oczy,

piękne i nieludzkie zarazem, z obawą przepatrywały niebo nad miastem. Dech na moment zamarł jej w płucach. Nasłuchiwała.

Panna druga też się zatrzymała, ku niewypowiedzianej uldze siwowłosej kobiety, lecz nie wypatrywała odpowiedzi w niebiosach. Od razu spostrzegła, że ten dźwięk – o ile był to dźwięk – dotarł jedynie do nich trzech, do nikogo więcej. Jak gdyby nie rozchodził się w powietrzu, którym oddychały, tylko gdzie indziej. Gdzieś głębiej.

– Co to było? – zwróciła się do trzeciej, która zdążyła się z nimi zrównać. – Wiesz?

– Dzwon runął – odparła krótko tamta, zerkając przelotem w stronę wielkich kłębow pyłu i dymu, które wzbijały się ponad Starym Miastem. Jęk wciąż rezonował nieprzyjemnie w kościach, aż miała ochotę go z siebie strząsnąć. Zapanowała jednak nad odruchem ciała, wszak i tak nic by nie dał. – Dzwon z Marii Magdaleny.

– Och, biedni grzesznicy... Już im nie zadzwoni w ostatniej drodze.

– Cóż. – Wyprostowała się, poruszyła ramionami, żeby pozbyć się tej nieznośnej sztywności, która zalegała jej w mięśniach. – Może pocieszy cię myśl, że właśnie zadzwonił całemu miastu.

– *Die mein lut hören, oder vernehmen spate oder fruh, die sprechen Gote dem Herren zu*^{**} – wyrecytowała panna druga, po czym uśmiechnęła się do trzeciej. – Dość złowieszcza wróżba, nie sądzisz, Matyldo?

– Sądzę, że nie wierzę we wróżby – odparła sucho Matylda Bolesna. – I ty też nie powinnaś.

– Co wy wygadujecie... – sapnęła szpakowata kobieta. – Co wy znowu wygadujecie...

Idąca na przodzie młoda kobieta rzuciła siostronom ostrzegawcze spojrzenie. Matka nie zrozumie, pamiętajcie. Nigdy nie rozumiała.

– Idźmy lepiej, bo nas tu noc zastanie.

Szły więc dalej na południe, przez ruiny i pustkę, przez kolejne kwartały niegdysiejszych kamienic, jeszcze nie tak dawno pyszniących się bogatymi fasadami pośród bujnych lip, teraz zrównanych z ziemią. Tu i tam sterczały schody do świata, który już nie istniał, a cierniowe korony kutych ogrodzeń i bezgłowe lwy strzegły wiernie spokoju domowników, teraz już wiecznego.

Do celu dotarły wczesnym popołudniem, po pięciu godzinach marszu, choć jeszcze nie tak dawno wystarczyłyby dwie. Aż im się nogi ugięły, po części ze zmęczenia, po części zaś z ulgi, jaka je ogarnęła na widok domu. Ich domu. Był tam, stał, może nieco chwiejniej, może okna ziały pustką, narożna wieżyczka szczyrzyła obnażone belki stropu, a drzwi wejściowe wisiały na jednym zawiasie. Ale stał.

– Zaczekajcie tu – powiedziała Matylda do matki i najmłodszej siostry, po czym razem z Jagą ruszyły przodem.

W środku powitała je woń stęchlizny i jakiś obcy mężczyzna, który na odgłos kroków wyjrzał na korytarz. Szelki miał opuszczone, rękawy podwinięte, a na koszuli mokre plamy. Chyba oderwał się od roboty.

– A wy tu czego? – warknął na widok dwóch panien, które weszły tu jak do siebie.

Obie były tak samo młode, wysokie, kropka w kropkę identyczne, obie tak samo znużone. Musiały długo brnąć przez to przekłete miasto ruin, zgnilizny i szcurów, które się na niej pasły.

Niemiecka zgnilizna, niemieckie szczury... Nie wzbudziło to w nim jednak żadnego współczucia. Wprost przeciwnie.

– A poszły stąd w cholere, ale już! Poszły, mówię! Bo psem poszczuję!

Lecz panny ani myślały się wystraszyć i pójść w tę cholere, wedle życzenia.

– Chyba kotem, o ile się jakiś znajdzie – rzuciła cierpko ta wsparta na lasce.

Pokuśtykała do schodów i opadła z westchnieniem na stopień. Dopiero teraz, gdy znalazła się bliżej, mężczyzna zauważył, że miała niewiarygodnie żółte oczy. Jak sowa. A patrzyła nimi na świat tak, jak gdyby niczego dobrego się po nim już nie spodziewała. Wprost przeciwnie.

– Szczurem też by można – dodała druga panna, o mniej chmurnym spojrzeniu. Trzymała się prosto, chociaż na obu dłoniach miała opatrunki dawno minionej świeżości, potargane, brudne od wszędobylskiego pyłu. – Czego jak czego, ale szczurów w mieście nie brakuje.

– Żebym ja wam zaraz nie wbił paru dobrych rad do tych ślicznych główek – warknął mężczyzna, rozsierdzony tak otwartą impertynencją. Jedna kulawa, druga poraniona, a proszę, jakie pyskate. Ręka sama osunęła mu się na szeroki wysłużony pas. – Bo jak nic by się przydało.

– Jaguś, czy ty go słyszysz? Bić nas będzie. Pasem! On chyba nie wie, kim jesteśmy.

– Nietutejszy. – Panna wzruszyła ramionami. – Skąd miałby wiedzieć? Przyzwyczajaj się lepiej, Matyldo. Teraz wszystko będzie tu... nietutejsze.

– Niedoczekanie.

– A choćbyście były i księżniczkami perskimi, won z mojego domu!

Ta kulawa, nazwana Matyldą, ściągnęła mocno brwi.

– To nie jest ani pański dom – zaczęła niskim twardym głosem, który nijak nie pasował do tak młodej kobiety – ani też niczyj, żeby go sobie brać wedle uznania. Mieszkamy tu od urodzenia i nigdzie się nie wybieramy. W przeciwieństwie do pana. – Machnęła laską. – Tam są drzwi.

– To wy takie?... Tfu! – splunął. Zwiódł go gładką polszczyzną, ale dopiero teraz uchwycił tę obcość, tę inność, która od nich biła. Nawet chustki na głowach zawiązały po niemiecku, z supłem na czubku głowy, a nie pod brodą, jak porządne polskie kobiety, które znał. – Toście sobie pomieszkały, szwabskie nasienie, a teraz mówię wam, że *raus* mi stąd, pókim dobry. Bo teraz tu jest Polska i tu mieszkają Polacy!

– Nie, proszę pana, tu mieszkają Polki!

W drzwiach wejściowych stanęła kobieta w czerni – znacznie niższa i zażywniejsza, no i starsza od bliźniaczych panien. Kilka szpakowatych pasm wymknęło się z jej upiętego koka i zwisało smętnie, lepiąc się do spoconej twarzy.

– My tu mieszkamy. – Kobieta postukała palcem w czarny gors.
– My! Polki z Breslau!

– Jak z Breslau, znaczy, że Niemki!

– Soczewica, koło, miele, młyn – wyrecytowała gładko panna z opatrunkami na dłoniach. – Brzmi dość polsko czy mam jeszcze zadeklamować *Inwokację*, tańcząc przy tym kujawiaka w stroju ludowym?

– To jest nasz dom rodzinny – ciągnęła z godnością szpakowata kobieta. – Weszłam tu jako panna młoda, tu urodziłam dzieci, pochowałam męża, Bolesnego Eustachego, człeka zasłużonego, zmarłego tragicznie, świeć Panie nad jego duszą...

Mężczyzna machnął ręką. A bo to pierwszy raz wysłuchiwał takich łąkań? A bo to pierwszy nieboszczyk, nad którym baby darły szaty? Wojna była, nie zauważyły? Na wojnie już tak jest, że się ginie tragicznie.

– Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Trzeba było siedzieć i pilnować swojego, a nie...

– Panu chyba umknęło kilka miesięcy oblężenia – wtrąciła uprzejmie panna z laską.

– Siedzieć i pilnować? – powtórzyła wdowa powoli, jakby się mierzyła z ogromem bezduszości zmieszczonym w tych słowach. – Tego, co myśmy tu przeżyły, to ja najgorszemu wrogowi nie życzę. Myśmy stąd uciekały, proszę pana, pod ogniem radzieckim, niemieckim... ogniem piekielnym! Piekielnym! Na gruz, na mróz, na poniewierkę. Na śmierć. I na co? Po co? Żeby mnie teraz jakiś... jakiś łapserdak stąd krzykiem wypędzał?! Nie. Dość. Dość!

– Mamo, po co mama się unosi...

– DOŚĆ!!! – przerwała im wdowa kategorycznie. – Ja nie chcę mieć nic wspólnego z tą całą wojną, z tą polityką, z niczym! Ja sobie życzę usiąść w końcu we własnym domu i w spokoju wypić herbatę!!!

Jej okrzyk poniósł się echem. Wówczas z kuchni na tyłach domu wyszła kobieta w kwiecistej sukience. Za nią po korytarzu rozszedł się mdlący zapach gotowanej kapusty.

– Kiedy wody nie ma. Krany suche, a studnia zatruta... podobno. Tak ludzie mówią – dodała prędko przybyła – że Niemcy zatruli,

żeby broń Boże nie pić.

– Co też ona plecie? – Zdumiona wdowa oglądała się to na córki, to na obcych. – Jakże zatruli? Po co by mieli zatruwać, to niedorzeczne!

Zachręściło szkło i za plecami wdowy wyrosła trzecia panna – wysoka i żółtooka jak tamte. I też kropka w kropkę identyczna. Tyle że ta miała w sobie pewną miękkość, równie urzekającą, co zastanawiającą. Niepokojącą wręcz. Aż mężczyźni ciarki przeszły po plecach.

– Papa mówi, żeby się nie obawiać – powiedziała panna. – W naszej studni nikt wody nie zatrul.

– Och, Mileńko! – Szpakowata kobieta obróciła się w popłochu. – Dziecko złote, co ty, co ty wygadujesz? Nie strasz matki...

– Tak mówi, co? – mruknął drwiąco mężczyzna.

Oj, coś mu się zdawało, że tu się grubą nicią szyje, że mu tu grają na nosie. Nieboszczyk nie taki pewnie znowu święty, jak go tu malują, a wdowa w żalu jednak utulona, pewnikiem przez świeżego absztyfikanta. Na litość go chciały wziąć, wykurzyć z domu, który zajął ledwie przedwczoraj, prawem polskiego osadnika, polskiego pioniera na tej zniemczalej do cna piastowskiej ziemi. Niedoczekanie.

– A gdzie on niby jest? Ten wasz papa?

– A tam, w ogrodzie. – Panna wskazała kciukiem za siebie. – Na drzewie, przed domem.

Rzeczywiście, rosło tam drzewo, jedno z nielicznych, których nie ściał artyleryjski ostrzał.

– I co on tam robi? – drążył mężczyzna. – Siedzi na tym drzewie czy co?

– No gdzie, jakie siedzi. Wisi przecież.

To mówiąc, panna powolnym, łagodnym ruchem przechyliła głowę. Wyglądała przez chwilę jak... jak wisielec na pętli. I uśmiechała się przy tym wielkodusznie, ale też z taką błogością, z rozmarzeniem takim, że mężczyznę aż dreszcze przeszły. Te panny... te ich oczy...

Mężczyzna rozejrzał się po korytarzu. Patrzyły na niego, wszystkie trzy. Jedna ranna, druga kulawa, trzecia... jak nic niespełna rozumu.

„On nie wie, kim jesteśmy”.

Naraz opadło go przekonanie, że im wcale nie chodziło o tę ich polskość. Tylko o co w takim razie? Czy aby na pewno chciał wiedzieć?

– Durna jakaś?... – wymamrotał poblady, cofając się odruchowo.

Kobieta w kwiecistej sukience złapała go za łokieć i przyciągnęła do siebie.

– Chodźmy stąd, Mieciu – powiedziała cicho, spoglądając błagalnie. – Skoro to ich?... Tu tyle domów pustych stoi, coś sobie znajdziemy.

– Już znaleźliśmy – zaprotestował słabo.

Trzecia panna przypatrywała mu się nieustannie z tym uśmiechem, od którego aż go swędziała dusza. Jak gdyby szukała, którędy by się tu wydostać z człowieka i pierzchnąć czym prędzej, gdziekolwiek, byle daleko.

– Mieciu, ja ciebie proszę, chodźmy stąd. Ja z wariatami mieszkać nie będę. Jeszcze nas spalą po nocy... albo i gorzej. Mieciu...

Wierciła tym cichym głosem dziurę, wierciła, aż uległ. Zabrali wszystko, zostawiając po sobie tylko duszną woń gotowanej kapusty.

Jaga Bolesna starannie zamknęła za intruzami furtkę i ruszyła na szybki obchód rodzinnego majątku. Czy też raczej jego mizernych resztek.

– W dachu dziury, połowa drzew leży, ani pół szyby się nie uchowało – zameldowała, wchodząc z ogrodu prosto do salonu, gdzie na zdezelowanym fotelu rozsiadła się matka z tobołami. – Wszystko splądrowane. Co się tylko dało, to wynieśli. Pościel, ubrania, naczynia... O, tyle się ostało. – Uniosła emaliowany dzbanek na wodę. – Wyrwałam temu tam Mieciowi, bo brał jak własne. Jeszcze się ze mną kłócił, że to poniemieckie, więc niczyje. Ja mu dam poniemieckie...

– Jakich ja czasów dożyłam! – Pani Bolesna załamała rękę. – Może trzeba było zostać u Bergów na Sępolnie, jak prosili... Tam prawie nic nieruszone, niespalone, miałybyście życie, jakąś przyszłość, jakąś... jakąś higienę, a tu?

– No co też mama wygaduje! – obruszyła się Mila. – To jest nasz dom!

– Ma się rozumieć, że nasz. Co z tego, że ruszony? – zawtórowała Jaga najmłodszej siostrze. – Dach się załata, szyby wstawi, a pościel rzecz nabyta. Znajdzie się inna, ładniejsza.

– Przyniosę wody – orzekła Mila. – Mama się zaraz napije tej herbaty i wszystko będzie dobrze.

– Masz. – Siostra wręczyła jej dzbanek. – Przyda ci się, bo coś mi mówi, że wiadra już nie znajdziesz. Pewnie też nóg dostało. Poniemieckich...

Mila pobiegła zaczerpnąć wody, a Jaga przykucnęła przy jednym z tobołków i wydobyła z niego podniszczoną puszkę z herbatą. Bergowie, znajomi papy, u których znalazły schronienie przez ostatnie miesiące, podzielili się z nimi, czym tylko mogli. Nie było tego wiele, woreczek mąki, trochę kaszy, a herbaty tyle co kot napłakał, ale cóż, i to należało docenić. Ludzka życzliwość w tych czasach też była towarem deficytowym.

Idąc z puszką do kuchni, spostrzegła, że Matyllda wciąż siedzi na schodach.

– Co ci? Matylldo?

– Co?... – Zapytana poderwała głowę i obejrzała się przez ramię.

– A nic, nic. Zamyśliłam się. – Jedną ręką chwyciła się balustrady, drugą zaczęła szukać oparcia dla łaski.

– Czekaj, pomogę ci – zaoferowała Jaga.

– Zostaw. Widzisz? Już stoję.

Czujne oko Jagi od razu uchwyciło jednak i przelotny grymas, który ściągnął twarz najstarszej siostry, i to, jak chwiejnie stała.

– Noga. Boli cię nadal. Daj, zobaczę, czy...

Matyllda uciekła spod jej troskliwej dłoni.

– Mnie boli noga, ciebie sumienie – skwitowała sucho, po czym zaczęła się przedzierać schodami na piętro.

– A wy się znowu sprzeczacie? – Z salonu dobiegł zatroskany głos pani Bolesnej. – Nie dość nam nieszczęść?

– Nie sprzeczamy się, mamó – odparła Jaga, wycofując się spod schodów. – Chciałam jej tylko pomóc.

– Och, jakbyś ją znała od wczoraj. Przecież wiesz, jaka Matyllda potrafi być uparta.

– *Consuetudo altera natura est*^{***} – dobiegł z góry głos Matyldy. Nie doprecyzowała jednak, kto i do czego powinien się przyzwyczajać: ona sama do bólu, który jej nie opuszczał, czy też one do charakteru, który towarzyszył jej równie natrętnie.

Schody były zniszczone. Tu i tam w miejscu desek ziały dziury wyszarpięte przez zabłąkane pociski artyleryjskie lub ich odłamki, które przeszły okno i ścianę. Dlatego Matylda na wszelki wypadek sprawdzała każdy stopień, tłukąc w niego laską od lewa do prawa, aż łoskot drewna i brzęk szklanych odłamków niosły się po domu donośnym bolesnym echem. Nawet i te ocalałe deski trzeszczały złowrogo, więc stąpała powoli, ostrożnie, trzymając się balustrady. Gdyż tak, Matylda była uparta. Dlatego parła przed siebie, starannie wypierając ciepło, które niespieszną strużką spływało z jej biodra.

Mogłoby się zdawać, że jej ciało przypomniało sobie o tym, co się wydarzyło, kiedy ostatnim razem szła po tych schodach. Kiedy się pokłóciły. Kiedy spadła. Odepchnęła od siebie tę niedorzeczną myśl. Rana nie była aż tak poważna, żeby okuliwić silną dwudziestoletnią dziewczynę na całe życie. Skądże. Zwłaszcza że natychmiast została zszyta i opatrzona wprawną ręką Jagi. Zagoiłaby się bez trudu, skurczyła do szorstkiej blizny i przykrego wspomnienia, gdyby kilka dni później nie musiały stąd uciekać. Trudno oszczędzać nogę, gdy trzeba kryć się w dołach i norach jak zwierzę. Od tamtej pory rana otwierała się raz po raz, sączyła, podkrwawiała, nie dając Matyldzie zapomnieć, ile kosztowało ją tamto zwycięstwo nad siostrą.

O ile na parterze można jeszcze było ulec złudzeniu, że wystarczy porządnie zamieść, dźwignąć z podłogi resztki okaleczonych mebli, pozbierać rozrzucone zakurzone książki, o tyle

tutaj widać było jak na dłoni, ile ciosów zadał temu domowi przechodzący front. Cuchnęło stęchlizną z wyraźną nutą spalenizny. Przez podziurawiony, miejscami zapadnięty dach wpadał do środka blask majowego słońca. Kawałki rozbitych dachówek i rozkruszonych cegieł, nawiany z zewnątrz piach przemieszany z popiołem i liśćmi, zaschnięte ptasie odchody – wszystko to chrzęściło i szeleściło pod podeszwami, zagłuszając znajome skrzypienie podłogi. Gdzieś pośród belek coś trzepotało skrzydłami. Powietrze świszczało w otworach, których Matylda nie знаła. Ich dom nie tylko wyglądał inaczej niż wtedy, gdy go opuszczały. Inaczej też brzmiał.

Lecz niepozorne, zwyczajne drzwi wciąż tam były, nietknięte przez kule, ogień czy łom. Wtedy, pod koniec lutego, gdy musiały uciekać przed frontem na drugą stronę Odry, Matylda osobiście zamknęła je na klucz, który zawsze nosiła na szyi. A teraz nie musiała ich nawet otwierać. Wystarczyło, że przytknęła dłoń do zakurzonego drewna. Poczwała. Mrok tak duszny, tak gęsty, skłębiony, a w nim uśpiony labirynt, niepojęta plątanina szafek i szafeczek, wąskich i szerokich, wysokich i niskich, starych i jeszcze starszych, wypełnionych szufladkami, które skrywały dziesiątki, setki, tysiące, nieskończoność nici.

Niewyobrażalną nieskończoność ludzkich żyć.

Siostry Bolesne, trzy mojry, nareszcie wróciły na Lipową.



Tej pierwszej nocy siostry do późnych godzin kręciły się po parterze, zabijając i zasłaniając odarte z szyb okna, czym tylko się dało –

deskami wyrwanymi ze schodów, półkami ze zniszczonych mebli, dywanikami cuchnącymi stęchlizną i moczem. Nie obawiały się zimna czy deszczu. Obawiały się ludzi.

Choć od podpisania kapitulacji minęły już prawie dwa tygodnie, a Breslau zdążyło się stać Wrocławiem, nie było dnia ani nocy, żeby gdzieś nie rozległy się strzały. Pojedyncze. Serie. Ciągące się bez końca wymiany ognia. Wszyscy strzelali do wszystkich – Niemcy, Sowieci, Polacy, szabrownicy, maruderzy, milicjanci, bandyci. Kto tylko miał naładowaną broń i powód dość dobry, żeby po nią sięgnąć.

– Dziki Zachód, Dziki Zachód! – pokrzykiwała z oburzeniem pani Bolesna, ilekroć na Lipową dobiegały odgłosy kolejnych strzelanin. – Jakich ja czasów dożyłam!

– Mama nie spazmuje – uciniała wtedy Matylda te jej rozpaczę. W przeciwnym razie matka szybko nabierała wiatru w skrzydła i wzbijała się ku przestworzom, tracąc kontakt z gruntem. – Sąsiadów z bronią jakoś nie widuję, a ci nowi osadnicy ciągną raczej do centrum niż tutaj. Tutaj nic nie ma.

– To tym gorzej! A jak przyjdą tu strzelać? Kto nas wtedy obroni? Kto usłyszy?

– Broń się bierze na żywych ludzi, nie na opuszczone gruzowiska – tłumaczyła Matylda. – Tutaj co najwyżej jednemu z drugim cegła sprawiedliwa na łeb spadnie, jak go szaber za bardzo poniesie. Żadnej broni do tego nie trzeba, mama mi wierzy. I nie spazmuje, tylko się napije herbaty.

Za każdym razem brała to na siebie. Uspokajała matkę cierpliwie jak nigdy, zagłuszała jej obawy, zagłaskiwała, topiła w gorącej herbacie z odrobiną cukru, którego sobie tak bardzo skąpiły. Wiezorami zbierały się w salonie i siedziały w ciszy, nasłuchując

strzałów, kroków lub, nie daj Boże, pukania, na które żadna z nich nie czekała. A gdy przychodził poranek, Matylda osobiście sprawdzała, czy żadna deska nie obluzowała się przez noc. Czy to samoistnie, czy też niekoniecznie.

Obawy się nie kończyły. W przeciwieństwie do herbaty od Bergów.

Któregoś ranka Jaga zerwała się jeszcze przed świtem i zniknęła bez słowa wyjaśnienia. Wróciła dopiero po południu, brudna i rozczochrana, lecz promieniejąca dumą, pchając przed sobą dziecięcy wózek na trzech kółkach. Jego zawartość wprowadziła pozostałe Bolesne w zdumienie na granicy ekstazy. Mąka, trochę grochu, worek kaszy jaglanej, konserwy, dwie paczki herbaty, odrobina cukru, nawet puszka prawdziwego kakao. A oprócz tego papierosy, kilka garnków, może i obitych, lecz nadal całych, poszarzałe nieco prześcieradła, świece, para kaloszy, chusta w kratę i skarb nad skarbami – kilka metrów samodziału, nożyce krawieckie, trzy duże szpule mocnej czarnej nici oraz maszyna do szycia.

– Dziecko drogie! – Matka wyławiała z wózka worek za workiem, pudełko za pudełkiem, nie mogąc się nadziwić temu szczęściu. – Skąd ty to wzięłaś?

– Od sąsiadów.

– To wszystko? Aż tyle? Dobrzy ludzie tu żyją, tacy dobrzy... Mileńko, to do spiżarni – zakomenderowała prędko – a to lepiej do piwnicy. Żeby się nic nie zmarnowało, nie wolno niczego zmarnować!

– O tak, najlepsi – zgodziła się Jaga i dźwignęła maszynę z wózka.

Wstrzymując odruchowo oddech z wysiłku, zaniósła ją do salonu i po namyśle ustawiła w wielkim kredensie. Nie miał już drzwiczek, a opróżnione obcą ręką półki same wyjęły, by zabić nimi okna. Wciąż jednak trzymał się na tyle dobrze, żeby udźwignąć ciężar maszyny. Przydałby się stolik do szycia, pomyślała, taki prawdziwy, z szufladkami na igły, nici i nożyczki. Tak wiele rzeczy by się przydało... Jakaś lampa, chociaż jedna, żeby po zmroku nie musiały siedzieć w ciemnościach. Nafta. No i leki. Wciąż miała stetoskop ojca i podstawowe instrumenty w metalowym pudełku, pilnowała ich jak oka w głowie, lecz bez leków i środków opatrunkowych nawet najostrzejszym skalpelem nie zwojuje przecież zbyt wiele.

– Mam uwierzyć, że sąsiedzi podzielili się z nami tak szczerze?

– usłyszała za plecami głos Matyldy.

– Tak.

– Tak, mam uwierzyć, czy tak, podzielili?

– Jak wolisz, Matyldo. Jak wolisz.

– A ta maszyna?

Jaga Bolesna otrzepała dłonie i wstała, obracając się twarzą do starszej siostry. Spoglądała śmiało. Wiedziała przecież, że nie uniknie tej rozmowy. W przeciwieństwie do matki Matylda nigdy nie była łatwowierna.

– Tak? Co z nią?

– Przecież to maszyna Glotterowej, poznaję. Szyła nam na niej letnie sukienki, jeszcze w zeszłym roku. Dała ci ją? Pożyczyła? – dopytywała.

– Nie wiem – odparła Jaga, po czym wzięła głęboki wdech, szykując się na wybuch. – Nie pytałam.

I proszę. Tak jak się tego spodziewała – oto Matylda i jej święte oburzenie, kipiące jak woda spod pokrywki.

– Ty to ukradłaś?! To wszystko, co przyniosłaś, jedzenie, pościel. Ukradłaś? Wyniosłaś z czyjegoś domu?!

– Nie chcesz, to nie jedz, zmuszać cię nie będę. Ale nie miej złudzeń, Matyldo. Nie wezmę ja, to weźmie ktoś inny. Nie ja jedna się tam kręciłam.

Ominawszy siostrę pewnym krokiem, wyjrzała na korytarz. Z kuchni dobiegał ożywiony głos matki.

– Nie wiesz, czy opróżniły już ten wózek? Muszę zaraz wrócić. Wiem, gdzie znaleźć talerze.

– O czym ty mówisz?

– O talerzach, Matyldo – wyjaśniła. – Bardzo nam się przydadzą, a trochę się bałam, że jak je upchnę razem z maszyną, to na tych wertepach wytlukę połowę. A w ogrodzie starych Preissnerów widziałam chyba jakąś nać – przypomniała sobie. – I pierwszy szczypior. Trzeba by się tam przejść i wyrwać, zanim się zmarnuje. Potrzebujemy witamin.

– Czy ty siebie słyszysz? – zapytała Matylda z trwogą w oczach.

– Dopiero co pogoniłaś intruzów z własnego domu. Jeszcze im dzbanek z ręki wrywałaś, bo to nie ich!

Jaga uniosła prawą dłoń, a potem położyła ją na sercu.

– Obiecuję ci uroczyście, Matyldo Bolesna, że zwrócę wszystko prawowitym właścicielom, gdy tylko się tutaj zjawią. Co do spodeczka. – Przewróciła oczami, czując, jak traci resztki cierpliwości. – Och, daruj już sobie to potępienie, szkoda czasu. Przecież my tego nie bierzemy na handel, nie rozumiesz? Nie dorabiamy się na ludzkiej krzywdzie, do ciężkiej cholery!

– Och, skądże. Jedynie na niej żerujemy. Jak sępy na padlinie.

– To może powiedz mi, moja wspaniała Matyldo, jak TY to sobie wyobrażasz? No? Przeżyliśmy oblężenie, a teraz mamy umrzeć z głodu we własnym domu?

– Coś wymyślimy.

– Co? Zupę ze sznurka? A skąd weźmiesz sznurek? – parsknęła z nieskrywaną kpina. – Ano właśnie. Nie mamy nic, Matyldo, zrozum to wreszcie. NIC. Tylko tę splądrowaną ruinę i dziury nad głową. Mamy chodzić głodne i bose, chociaż wiem, gdzie znajdę kaszę i buty? W imię czego?

– A bo ja wiem? Może elementarnej przyzwoitości?

– Nie jestem przekonana, czy jakakolwiek dawka przyzwoitości wystarczy, kiedy w twoją ranę wda się jakieś paskudztwo. Chyba że potrafisz zabijać bakterie wrodzonym sarkazmem, w takim razie wróżę ci świetlaną przyszłość w medycynie.

– To nasi sąsiedzi, ludzie, których znamy od... od zawsze. A ty ich okradasz! Jak ty im potem w oczy spojrzysz?

– Skąd pewność, że będzie komu?

Matylda drgnęła, jakby ją kto w twarz strzelił.

– Nawet tak nie mów.

Jaga otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz słowa na moment uwięzły jej w gardle.

Dlaczego dopiero teraz to pojęła?

Zawsze były trzy, od samego początku: Matylda, Jaga, Mila, identyczne co do pasma włosów, co do pieprzyka, co do gestu. Trojaczki, cud natury i medycyny.

Siostry nierozłączne.

Mojry.

A z nich trzech to najstarszej Matyldzie przypadła rola najtrudniejsza – tej, która strzeże ludzkiego losu przed splątaniem. Losu ich sąsiadów również. Boże drogi...

Przed oczami stanął Jadze jeden z okolicznych domów, które tego dnia odwiedziła. Niedaleko stąd, może kwadrans niespiesznym krokiem. Pusty, ślepy, martwy, jak wszystkie, które ostały się w ich dzielnicy. Przeszukiwała pomieszczenie za pomieszczeniem, szybko, zwinnie. W jednym, przez szparę między framugą a uchylonymi drzwiami, mignął jej dzban w znajome bolesławieckie kropki. Paskudne, gdyby ktoś ją pytał, ale darowanemu naczyniu nie zamierzała zaglądać we wzory. Kiedy pchnęła drzwi, żeby wejść do środka, te stawily dziwny opór. Pchnęła więc mocniej. Dobiegło zza nich jakieś dziwne szuranie. Zajrzała do środka, żeby sprawdzić, co wydawało ten dźwięk.

Po drugiej stronie, na kłamce, wisiał zaschnięty trup.

Nie pierwszy i nie ostatni, na jakiego się natknęła. Trupy ludzi, których niegdyś mijaly na ulicach, wymieniając konwencjonalne uprzejmości, były teraz wszędzie.

– Och, Matyldo... Ty się chyba nie łudzisz? – zapytała miękko, zdjeta współczuciem. – Ty naprawdę sądzisz, że oni wszyscy wrócą do swoich domów? Że będzie jak dawniej?

– Wrócą – odparła stanowczo Matylda, zadzierając podbródek. – Czemu mieliby nie wrócić?

– Bo nie żyją.

– Na pewno nie wszyscy.

– Dobrze. – Jaga skinęła powoli głową. – Dobrze. Sprawdź więc, Matyldo. Sprawdź, nic po nici, kto z naszych sąsiadów żyje, a kto nie,

a ja ci przysięgam na życie naszej matki, że do ich domów nie wejdem, choćby spływały wódką i kapały złotem.

– Żadna różnica, czy żyją, czy nie. Podłóż pozostaje podłóżką.

– Wtedy się nie wahałaś.

Nieskrywana gorzka w głosie siostry paliła jak rozżarzone żelazo. Matylda zacisnęła mocno dłoń na lasce, próbując ukryć, jak bardzo drżała. Jak bardzo miała ochotę krzyknąć. Do utraty tchu.

– Wtedy chciałam coś zmienić – odparła głosem wypranym ze wszystkiego. – Chciałam dać spokój chociaż jednej zrozpaczonej matce.

– A ja choć jedną chciałabym nakarmić.



Nigdy więcej nie wracały do tej rozmowy. Matka, kiedy usłyszała, gdzie jej średnia córka zaopatruje dom w podstawowe produkty, aż dostała bóleści.

Do obiadu przeszły jak ręką odjął. Trzeba jakoś żyć.

Aż któregoś przedpołudnia Jaga wróciła z szabru, ciągnąc za sobą nie tylko trójkołowy wózek, ale też zapłakaną dziesięciolatkę w przykrótkiej sukieneczynie oraz przydużych butach, na dodatek męskich.

– Mało ci sztuców? – zapytała Matylda zgryźliwie. – Przerzuciłaś się na dzieci?

Jaga nie była jednak w nastroju do przepychanek.

– Jej ciotka zaczęła rodzić w jakiejś piwnicy, wysłała ją po pomoc. – Oparła chwiejny wózek o ścianę. – Rozładujcie to, a ja idę.

Zaczekaj tu – rzuciła do dziewczynki.

– Wykluczone! – zakrzyknęła pani Bolesna ze zgrozą. – Poród to... to nie jest widok dla młodych panien! Absolutnie! Ja się nie zgadzam!

– MAMA NIE SPAZMUJE – huknęły zgodnie trzy siostry.

– Młode panny przeżyły wojnę i wiedzą, że nie wzięły się z kapusty – dodała Jaga już normalnym głosem. – Poza tym ktoś musi tej kobiecie pomóc. Czy może mama postuluje, żeby ją w tej piwnicy zostawić samą sobie?

– Ja do niej pójde – oznajmiła matka kategorycznym tonem. – W przeciwieństwie do ciebie mam pewną praktykę w rodzeniu dzieci. I zawsze noszę w torebce akcesoria niezbędne eleganckiej kobiecie.

– A jakież to? – zapytała zaskoczona Matylda.

– Igły, nici i perfumy! A cóż innego miałabym nosić?

– Igły i nici jeszcze rozumiem, ale... perfumy? Mama zamierza spowijać wonią położnicę czy siebie?

– Jakkolwiek by patrzeć, zawsze to alkohol – słusznie zauważyła Jaga. – Przyda się, tak czy inaczej. Dobrze, w takim razie idziemy. Obie. Bez dyskusji! – ucięła, widząc, że pani Bolesna zbiera się do kolejnego protestu. – Mama się zajmie powtórką z praktyki.

– A ty?

– A ja będę odganiać szczury – wysyczała Jaga cicho, żeby jeszcze bardziej nie straszyc dziecka.

Zabrała instrumenty ojca i kawałek mydła. Biegając do drzwi, rzuciła jeszcze do Matyldy:

– Albo wrócimy jeszcze przed zmierzchem, albo... Zresztą, komu ja to tłumaczę. Będiesz wiedziała, gdzie się podziewamy.

Owszem, Matylda wiedziała. Dlatego gdy zaczęło zmierzchać, a matki i córki wciąż ani śladu, nie przejęła się zbyt. Rozsiadły się z Milą w salonie. Najstarsza siostra w nikłym świetle lampy dokładnie, z uwagą reperowała ostatnią parę pończoch, jaka jej się ostała. Najmłodsza tymczasem wygrzebała skądś stary budzik, jeszcze po dziadku, i oglądała go z zainteresowaniem.

– Myślisz, że wciąż działa? – Gdy potrząsnęła wiekowym mechanizmem, w środku dało się słyszeć ciche cykanie jakiegoś obluzowanego elementu. – Tykać tyka.

– Nakręć go i nastaw, to się przekonasz.

– Na którą?

Matylda wzruszyła ramionami.

– Bez różnicy. I tak nie mamy pojęcia, która jest właściwie godzina.

– Jest w tym coś wyzwalającego, nie sądzisz? – Mila w zadumie kręciła kluczykiem, wpatrując się we wskazówki za zakurzoną szybką. – Tak żyć bez minut i godzin. Czas nadal płynie, ale jakoś tak... inaczej.

– Nie daj się zwieść – odparła Matylda znad pończochy. – Każde wyzwolenie może łatwo stać się pułapką.

Mila zaśmiała się cicho. Odstawiła budzik na ziemię i klasnęła w dłoń.

– Usmażę nam chleba, co? Chcesz?

– Z cebulą?

– Z cebulą. A ty tu kończ.

Ciemność korytarza pochłonięła beztroską Milę.

Wtem dłoń z igłą zamarła nad pończochą, a w ślad za nią instynktownie zastygła cała Matylda. Bo zamiast znajomego

skrzyknięcia, jakie pod stopą Mili powinna wydać podłogowa deska na progu kuchni, jej uszu dobiegło coś innego.

Kroki.

Powolne. Łakome. Przemierzające dom.

Obce.

– *Idi, idi...* – Tuż za ścianą rozległ się męski głos. – *Nu, dawaj, idi, tolka spakojna, nie slizkam bystra! Charoszaja dziewoczka, charoszaja.*

Cofając się powoli, tak jak jej kazali, Mila wróciła do salonu. Za nią jak po sznurku szli dwaj krasnoarmiejcy. Ten z przodu miał karabin, ten za nim minę wygłodniałego szczura. Na widok Matyldy pierwszy trącił drugiego.

– *Smatri! Kak dwie kapli wady!* – Zachwyt rozpromienił jego przeciętną twarz, jedną z tych, które zaraz wylatują z pamięci.

Ale szczurzy pysk rozglądał się już za kolejnymi zdobyczami. Panny pannami, na to zawsze przyjdzie czas.

– *Szto eta?* – Czubkiem buta trącił stojący na ziemi budzik. – *Eta czasy?*

– Nie rusz! – wyrwało się Mili. – To pamiątka po dziadku!

– *Eta trafiej* – warknął niczym pies broniący zdobyczy. – *Trafiejne, panimajesz? Znaczit majo! I ty toże trafiej* – dodał i zarechotał paskudnie.

– *No, dziewuszka miłaja* – odezwał się jego towarzysz z karabinem, ale zupełnie inaczej, przymilniej. Opuścił lufę ku ziemi i uśmiechnął się wyczekująco. – *Ty pacełujesz mienia, jesli ja lubiezno poproszu?*

Mila Bolesna pokręciła głową.

– *Niet?* – Zrobił smutną minę. Był młodszy od tamtego, ot, ledwie odrośnięty dzieciak z pierwszym zarostem na wciąż okrągłej buzi, któremu ktoś wcisnął karabin do rąk i kazał iść walczyć, wyzwalać i brać, co popadnie. – *A paczemu niet, diewoczka?*

– Bo umrzesz – odparła Mili głosem, od którego Matyldzie w ułamku sekundy włosy stanęły dęba. – Obaj umrzecie. Teraz.

Pchnięta nieodpartym instynktem Matylda rzuciła się na ziemię.

W tym samym momencie upiorny terkot rozdarł wieczorną ciszę.

Następne sekundy eksplodowały dźwiękami, bo gdy żołnierz o szczurzym pysku wrzasnął, ten drugi w panice szarpnął za spust. Szczęk. Strzał. Seria strzałów. Huk, chaos i jego echo przetoczyły się przez dom, odbijały od pustych ścian. Gdzieś pośród nich przepadł krótki kobiecy krzyk, przepadł szmer sypiącego się tynku, przepadł niepozorny metaliczny brzdęk. Za to rykoszetujące kule, mknące na spotkanie miękkich ciepłych ciał, koniec końców nie umknęły nikomu.

Karabin umilkł.

Cóż. Budzik po dziadku z wyjątkowym rozmachem obwieścił swe zmartwychwstanie.

– Mówiłam. – W drżącym nieco głosie Mili, który odezwał się po chwili, dało się słyszeć nutę zawodu. – Zawsze mówię, a oni nigdy nie słuchają. – Usiadła na podłodze, odgarnęła włosy z twarzy i westchnęła niepokieszona. – No cóż. Przynajmniej wiemy już, że budzik działa! – rzuciła z uznaniem, patrząc na bohaterski mechanizm. – Porządna robota.

Zastygła na ziemi pod ścianą Matylda zmusiła się do głębokiego powolnego oddechu, starając się uspokoić rozedrgane serce. Rana na

jej biodrze pulsowała do taktu rozdzierającym bólem. Ignorując go, moja wstała, wzięła lampę i podeszła bliżej.

Śmierć miała litość dla żołnierza o szczurzej twarzy. Padł trupem tam, gdzie stał, obok tykającego miarowo budzika po dziadku. Ten drugi leżał na parkiecie. Dłoń, którą dopiero co pewnie trzymał karabin, rozpaczliwie zaciskał na przeszytym gardle, próbując łapać, zatrzymać jakoś to życie, które uciekało z niego z cichnym bulgotem. Jeszcze przez chwilę, przez długą nieznośną chwilę patrzył na Matyldę, a Matylda patrzyła na niego.

Aż wreszcie wszystko ucichło.

– Musimy to... musimy ich... musimy tu sprzątnąć – wychrypiała po chwili Matylda. – Zanim wróci Jaga z matką. One się nie mogą dowiedzieć. Nie mogą, rozumiesz? – Obejrzała się na siostrę.

Mila przytaknęła posłusznie.

– Jaga znalazła gdzieś łopate – przypomniała sobie. – Możemy ich pochować w ogrodzie. Och! – Aż klasnęła w dłonie, jak małe dziecko. – Papa będzie miał towarzystwo!

Skąd ten lekki ton, skoro krew była tak ciężka? Matyldzie aż zakręciło się w głowie. Nie potrafiła tego połączyć, ogarnąć ani rozumem, ani sercem.

– Trzeba ich stąd wynieść. Może... może złap go za nogi, a ja... Boże, ile tu krwi... – Cofnęła się, a myśli trzepotały jej po głowie jak ćmy ogłupiałe od światła. Jak one to doczyszczą? Czym? Jak zmyją z białych dłoni tę krew, tak gęstą, tak ciemną? A z desek? Z ubrań? Z sumienia?

– Zostaw, Matyldo. – Ciepła ręka siostry chwyciła ją delikatnie za ramię. – Tylko się niepotrzebnie namęczysz i ubrudzisz. To się

robi inaczej.

– Co?... – Poderwała ciężką od myśli głowę. – O czym ty mówisz?

– Bo ty się do tego źle zabierasz – odparła Mila takim tonem, jak gdyby tłumaczyła siostrze, którym ścięciem obrębia się robótkę. – Czekaj, ja ci zaraz pokażę. Wystarczy kawałek materiału. Albo szalik, też się nada.

Przeskoczyła nad ciałami i zniknęła gdzieś w ciemnościach. Wróciła po paru minutach z kawałkiem szmaty nieokreślonego koloru. Szarpnęła, aż materiał z trzaskiem rozdzielił się na dwa długie pasy. Jeden rzuciła siostrze.

– Patrz. Robisz taką pętlę, łapiasz w nią nieboszczyka i... ciągniesz! – Tłumacząc, jednocześnie zarzuciła z wprawą środek pasa pod żuchwę krasnoarmiejca i pociągnęła za oba końce. Materiał zatrzeszczał, a potem ciało zaczęło sunąć po podłodze mokrej od krwi. – Widzisz? Od razu łatwiej!

– Miluś? Mileńko?...

Najmłodsza siostra zatrzymała się i spojrzała na siostrę najstarszą. Tak ufnie, otwarcie jak dziecko. Dziecko, które wcale nie ciągnęło za sobą ciepłych jeszcze zwłok po podłodze.

– Tak, Matyldo?

Dłoń najstarszej mojrzy mimowolnie wsunęła się do kieszeni. Drgnęła, gdy pod opuszką poczuła nic. Musnęła ją z ociąganiem, z obawą, od której aż skręcało jej wnętrzności. Ale musiała się dowiedzieć, więc przemogła lęk i zacisnęła palce na szpuli.

Wtedy zobaczyła wszystko.

Wszystko, co spotkało Milę.

Wszystko, co Mila zrobiła.

Jakim cudem to jej umknęło? Jak mogła nie zauważyć, że tamtej nocy – nakłoniona jej namowami, jej mamieniem, by przedwcześnie przecięła nić ludzkiego żywota – Miła przekroczyła granicę, zza której nie było odwrotu?

Nie teraz. Później. Teraz musiała skupić wszystkie siły na uprzątnięciu zwłok.

– Nic. Już nic.



Letnie słońce przeszywało brudną szybę jasnymi promieniami i padało prosto na twarz kobiety. Zmrużyłaby powieki, gdyby mogła. Ale cóż. Obrzęk kiedyś zejdzie.

– Mów – usłyszała kolejny już raz.

– Co?

– Wszystko. Od początku. Tylko bez łągarstw, słyszysz? My wszystko wiemy.

– To po co mam mówić?

Podobnie jak poprzednie również ten cios został wymierzony od niechcienia, z zatrważającym opanowaniem i świadomością, jak szybko ciężka męska dłoń może przefasonować taką drobną kobiecą twarz.

– Pyskuj dalej, pyskuj. Wiesz, co my tu robimy z takimi Niemrami jak ty? Nikt po tobie płakać nie będzie.

– Jestem Polką – wydusiła, przełykając zdradzieckie łzy.

– A to już my ocenimy.

Za jej plecami, na drugim końcu długiego pomieszczenia, skrzypnęły zawiasy. Sądząc po krokach, do pokoju wszedł drugi mężczyzna. Coś trzasnęło, ale inaczej, nie jak ciało o ciało.

– Mówi, że nic nie wie – zameldował zbir z kwadratową szczęką. Kątem oka obserwowała, jak rozmasowywał spracowaną dłoń. – Że to pomyłka.

Podniosła wzrok wyżej. Drugi milicjant, też w cywilu, z opaską na ramieniu, rozsiadł się za stołem. Mógłby nawet uchodzić za przystojnego, gdyby nie trudnił się biciem kobiet. Ewidentna skaza na męskiej urodzie.

– Wstań.

Wstała.

– Idź.

Poszła.

Usłyszała, jak ze świstem wciągnął powietrze.

– Bolesna? – zapytał. Ostrzej niż przedtem.

– Bolesna.

– Matylda?

No proszę. Przybyła kawaleria. W końcu ktoś, kto potrafił zadać więcej niż jedno pytanie, a potem powtarzać je raz za razem, cios za ciosem. Może jednak zachowa komplet uzębienia?

– Jadwiga – odpowiedziała tak uprzejmie, jak tylko umiała, nie ocierając się przy tym o sarkazm. Za sarkazm jak nic pożegna się z zębami.

– Kurwa. To nie ta.

– Jak nie ta? – zdziwił się zbir.

– Tamta podobno kuleje. Spierdalaj mi stąd.

Zbir cofnął się zmieszany i zniknął Jadze z pola widzenia. Ale milczenie zawiasów nie pozostawiało wątpliwości. Wciąż tam był, gdzieś za nią, gotowy w każdej chwili zabrać się do zarzuconej roboty.

Cywilny tymczasem skinął na Jadwigę, żeby usiadła z powrotem na krześle. Z kieszeni marynarki wyciągnął wymiętoszoną paczkę papierosów i położył przed nią na stole.

– Nie palę.

– Zacznie.

Po namyśle sięgnęła po paczkę i wyłowiła z niej papierosa. Obracała go w palcach, podczas gdy milicjant w cywilu wczytywał się w rozłożone przed nim akta.

– No dobrze. Kolega już się namachał, to może ja się teraz czegoś dowiem. Gdzie jest Matylda Bolesna?

– Nie mam pojęcia. Nie widziałam jej od... dwóch tygodni? Trzech? Zabrali ją.

– Kto?

– Ruscy. Któregoś dnia podjechali w kilka ciężarówek, zaczęli łapać ludzi do roboty. Do odgruzowywania ulic, a przynajmniej tak mówili. Już prawie byłam na pace, ale Matylda mnie stamtąd wyrwała.

– Odważna.

– Uparta. Chociaż... rzeczywiście, czasem można pomylić jedno z drugim – przyznała Jaga. – Jeszcze się z nimi kłóciła, że ja nie mogę iść, ponieważ pracuję w szpitalu, że ona pójdzie za mnie. Zgarnęli, wywieźli, a dokąd, po co? – Wzruszyła ramionami. – Szukaj wiatru w polu. Zapytajcie, może wam powiedzą.

– Siostra poszła za ciebie do takiej roboty? Dlaczego?

– Zapewne uznała, że dość już zostawiłam krwi na gruzach tego miasta.

Przyjrzał się jej smukłym dłoniom pokrytym konstelacjami blizn. Szanowni widzowie, oto przed wami Trójkąt Południowy: pręt, cegła i szkło. Tu zaś Warkocz Bereniki, spleciony starannie przez druty kolczaste. Tam zaś, wyżej, Erydan wypalony językami płonącego gazu.

– Grunwald? – domyślił się. – Odgruzowywałaś pas pod lotnisko, co?

Jaga Bolesna przytaknęła.

– Długo tam pracowałaś?

– Od samego początku. Do samego końca. Nie wiem, jak... ale jakoś to zniosłam.

Zbir za jej plecami wydał z siebie pogardliwe parsknięcie.

– Niektórzy do żadnej roboty nieprzyzwyczajeni, to im potem rączki od byle czego wędną.

– Widziałam ludzi, którzy płonęli żywcem. Rzucali się do rzeki. I tam nadal płonęli. – Obejrzała się na niego przez ramię. – Jak pan sądzi? Da się do takiej roboty przyzwyczaić?

Cywil wyprostował się na krześle i ponad głowę Jagi omiótł zbira beznamiętnym spojrzeniem.

– Czy ja ci nie kazałem spierdalać?

Zaczekał, aż zostaną całkiem sami. Gdy na powrót skupił się na Jadze, w jego oczach zaszła wyraźna zmiana. Jak gdyby po tym, co usłyszał – po tym, co sobie dopowiedział – patrzył na kobietę inaczej niż dotąd. A może tylko się łudziła?

Zapalił papierosa, a potem podsunął Bolesnej tę samą zapałkę. Po namyśle skorzystała z ognia.

– Co pani wie o gauleiterze Karlu Hankem? – zapytał wreszcie.

Ach. Więc to o to chodziło. No cóż, chyba jednak nie obejdzie się bez sarkazmu. Musiała przecież za czymś ukryć prawdę.

– Że nie wycierał butów. Zawsze wchodził jak do chlewu. Pan i władca.

Chyba docenił koncepcję, bo uśmiechnął się krzywo.

– Bywał w waszym domu.

– Tak.

– Dlaczego?

Papieros smakował paskudnie i cuchnął jak przydrożne truchło, lecz jako rekwizyt okazał się przydatny. Jaga Bolesna zaciągnęła się, długo, lecz płytko, dając sobie czas do namysłu. Wszak wchodziła na grząski grunt.

– Hanke był zaskakująco przesądny – zaczęła. – Podobnie jak wielu hitlerowców. Z jakiegoś powodu uważał, że moja siostra ma nadprzyrodzone moce. Że potrafi odczytać przyszłość. Przyjeżdżał do nas, żeby mu wróżyła. Niestety, chyba nigdy nie miała dla niego dobrych wiadomości, bo zawsze wychodził od niej wściekły.

– O co pytał? O czym rozmawiali?

– Nie wiem.

– Oj, coś mi się nie wydaje.

– Nie pytałyśmy. Nigdy. Wolałyśmy nie wiedzieć. Sekretów pewnych ludzi lepiej nie znać, jeśli pan wie, co mam na myśli. Matylda też nam nigdy nie opowiadała, o co ją wypytywał.

– Dla własnego dobra?

– Oraz naszego. Głównie naszego, co tu kryć.

– I za to jej płacił? Za wróżby? A nie za wdzięki młodej kochanki?

Jaga parsknęła śmiechem i zaraz tego pożałowała, bo fala bólu rozlała się po jej ciele, sięgając od obitej głowy aż do żołądka. Poczwała w gardle palący posmak żółci. Przełknęła ślinę.

– Waszym zdaniem Matylda była kochanką Hankego?

– Dlaczego by nie? Jeśli jest do pani choć trochę podobna...

– Może trochę – odparła niewinnie, udając, że bierze to za komplement. Cóż, mogła sobie pogratulować przezorności. Czyżby naprawdę nie wiedzieli? Czy tylko zastawiali sidła? – Nie, moja siostra nie była kochanką ani Hankego, ani nikogo innego. Prędeż by mu gardło przegryzła, niż pozwoliła, żeby tknął ją choć palcem. Nie tylko jemu zresztą. Matylda jest... bardzo uparta.

– A jednak nie wzgardziła tym, co jej przynosił w zamian za te... wróżby.

Cóż za chichot losu, przemknęło Jadze przez myśl. Zachowała sobie ten prztyczek na później. Matylda powinna go docenić.

– Hanke to był straszny człowiek. Straszny. Matylda... Matylda jedynie podjęła grę, którą sobie wymyślił. Byłyśmy Polkami w niemieckim mieście. Cywilami w oblężonej twierdzy. Nie wiem, czy pan sobie w ogóle zdaje sprawę, co to znaczyło. Każdy tu słyszał o Nemmersdorfie. O całych rodzinach trujących się gazem. Publicznych egzekucjach za tchórzostwo i zdradę, bo ktoś ośmielił się zwątpić w wynik oblężenia. Chciałyśmy po prostu wyjść z tego żywe.

– Mogłyście się ewakuować w styczniu – zauważył.

– I zamarznąć w jakimś przytulnym rowie, tak? Jeśli wziąć pod uwagę, co działo się tu potem... nie taka znów najgorsza perspektywa – dokończyła w zamyśleniu. – Ale Hanke nam nie

pozwolił. Matylda musiała zostać, a my razem z nią, żeby nawet nie przyszło jej do głowy próbować ucieczki.

– Często u niej bywał?

– Różnie. Raz w miesiącu, raz w tygodniu. Pod koniec znacznie częściej. Bał się. Aż cuchnął tym strachem.

– Kiedy ostatnio?

Nabrała głęboko powietrza.

– Dwudziestego... drugiego lutego? Dwudziestego trzeciego? Jakoś tak. To było tuż przed tym, jak front dotarł do naszej ulicy. Dopiero wtedy przestali nas pilnować. Jakimś cudem udało nam się przedostać na drugą stronę Odry. Nigdy więcej go nie widziałam. Podobno uciekł z miasta tuż przed kapitulacją. Jedni mówią, że nie żyje. Inni, że żyje. Pies go trącał.

– Wystartował z lotniska, które pani budowała gołymi rękami.

Och, ileż ironii. Aż żal, gdyby się miała zmarnować.

– Może. Nie wiem. Nie powiem, żeby mnie to szczególnie obchodziło.

– A co pani robi teraz? Pracuje pani w tutejszym szpitalu, zgadza się?

– Pomagam w szpitalu – poprawiła Jaga. – Zajmuję się trochę zaopatrzeniem, trochę papierami. Do innej pracy nie mam uprawnień. Zatrudniłam się też jako asystentka na wydziale lekarskim.

– Lekarskim? – powtórzył, unosząc brwi. – No proszę.

– Owszem. Od jesieni zamierzam studiować medycynę. Ojciec był lekarzem.

– Rodzinna tradycja piękna rzecz. – Z uznaniem pokiwał głową.

– Rozumiem, że ma pani maturę?

– Mam.
– Polską? Czy niemiecką? Bo niemieckiej mogą pani nie uznać.
– Uznają, zwłaszcza jeśli zdam egzamin. A zdam – dorzuciła twardo. – Przez pewien czas uczęszczałam też do polskiej szkoły w... we Wrocławiu.

Ściągnął w zamyśleniu brwi, strapiony tak niezmiernie, że Jagę zmroziło.

– No nie wiem. Bez polskiego obywatelstwa, bez polskiej matury... Żeby chociaż pani miała męża Polaka... – Sięgnął po ołówek, ale naraz jakby zmienił zdanie, bo zamiast niego chwycił za pióro, obrócił kilka razy w dłoni i wreszcie przytknął czubek stalówki do papieru. Starannie, bez pośpiechu ciągnął długą prostą linię przez kolejne litery, przez kolejne słowa, kolejne nadzieje, póki nie sięgnęła kropki. – Może być ciężko z tymi studiami, panno Jadwigo. Bardzo, bardzo ciężko.



Wywieźli ją gdzieś daleko, wysadzili na gruzowisku, które mogło być czymkolwiek. Gdziekolwiek. Kiedykolwiek. Gdzie była? W którą powinna pójść stronę, żeby trafić z powrotem do domu?

Nie rozpoznawała niczego, a na dodatek bała się ruszyć, żeby nie wejść na jakąś minę. Albo na czyjś grób.

Wokół panowała absolutna cisza. Niewzruszony spokój cmentarzyska. Jaga bez trudu mogłaby się poddać złudzeniu, że jest tu zupełnie sama, że nikogo tu nie ma, nigdy nie było i nie będzie. Na ziemi walały się śmieci – szmaty, papiery wyrwane z czyichś rąk

albo wyrzucone z jakiegoś biurka. Kilka kroków dalej leżała damska torebka. Obok niej blakły fotografie o kremowych ząbkowanych brzegach.

Jaga zadarła głowę i zmrużyła oczy. Przypatrywała się milczącym szkieletom budynków w poszukiwaniu jakiegoś drogowskazu. Może tabliczki z nazwą albo sklepowego szyldu? Nic. Żadnych punktów odniesienia, których dałoby się ucześcić, żeby nadać tej przerażającej pustce jakieś ramy, żeby ją uchwycić, zamknąć i oswoić. Dostrzegła jedynie pośród rumowiska kawałek blachy zatknięty na kiju, a na niej niemiecki napis: „Tutaj leżą moje dzieci” i data, drugi kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Wielkanocny poniedziałek. Dzień po końcu świata.

Widziała to na własne oczy, kiedy przedzierały się za Odrę. Dopiero potem usłyszała, że to taka taktyka. Nieludzka, barbarzyńska taktyka zaciekłych obrońców i bezwzględnych zdobywców. Wysiedlić. Zabić. Podpalić. Zburzyć. Zrównać z ziemią. Nie zostawić za sobą choćby skrawka, choćby strzępu życia, którego dałoby się uchwycić. Jedynie to: *Toten Räume*. Pola martwoty rozlewały się więc po mieście, rozszarpywały je na kawałki, wykrwawiały arterie do cna, do ostatniej kropli krwi, aż miasto – żywy organizm – stało się trupem.

Jaga Bolesna stała w lipcowym słońcu, skołowaciała od bólu i skwaru. Gdzieś rozkładały się zwłoki, gdzie indziej kwitły róże. Mdlący smród gnijącego mięsa i duszna woń kwiatów splatały się, przenikały, stapiały w zapach tego nowego świata. Mojra patrzyła przed siebie – równie martwa w środku co ta pustynia ruin i zgliszczy.

– Proszę pani! Proszę pani!

Nie od razu pojęła, że to ją miał na myśli ten zaaferowany głos. Dopiero gdy tuż przed nią wyrósł mężczyzna w jasnym kapeluszu, coś zaczęło do niej docierać. Uniosła dłoń do twarzy. No tak, istotnie, mogła budzić pewną sensację.

– Pani potrzebuje pomocy – rzekł mężczyzna. Miał na sobie jasny garnitur, w ręce skórzaną aktówkę. Skąd on się urwał? Przecież zaraz się cały uwala na tym gruzowisku. Albo go napadną. Okradną.

– Nie, nie... nie trzeba. Dziękuję. Wszystko w porządku, to tylko... nie wygląda najlepiej. – Jaga uśmiechnęła się, choć kosztowało ją to kolejne szarpnięcie bólu w obitej głowie. – Przepraszam, czy może mi pan powiedzieć, gdzie ja jestem?

– Pani nie wie?

– Niestety, czasem trudno się odnaleźć w tych dzisiejszych... okolicznościach. Chciałabym wrócić do domu.

– Wykluczone, proszę pani. Proszę posłuchać. Mieszkam niedaleko. Tam, w tamtym budynku, proszę spojrzeć. Widzi pani? – Wskazał na jakiś budynek dalej, w głębi ulicy. – Zapraszam. Opatrzmy to, napije się pani herbaty, doprowadzi do ładu.

– Nie sędzę, żeby... – zaczęła, lecz w tej samej chwili mężczyzna najwyraźniej się zreflektował, gdyż zapewnił pospiesznie, wchodząc Jadze w słowo:

– Proszę się nie obawiać, ja nie mieszkam sam. Frau... nie mogę spamiętać tego nazwiska. Widzi pani, władam rosyjskim i łaciną, liznąłem też nieco francuszczyzny, lecz niemieckiego ni w ząb nie pojmuję! A uczyłem się, osłuchiwałem, co jednak jednym uchem wlatywało, zaraz ulatywało drugim. – Wydał z siebie ciężkie westchnienie nad tą przykrą językową niemożnością, która go

bezsprzecznie trapiła. – W każdym razie mieszkam z pewną Frau. Tutejszą. Proszę się nie obawiać.

Ujął młodą kobietę pod ramię i poprowadził sobie znanymi ścieżkami. Jaga nie miała sił się opierać. Ani też ochoty. Wizja schronienia przed tym skwarem i filiżanki herbaty była tak kusząca, że dałaby się za nią zaprowadzić choćby do samego piekła.

– Przepraszam – podjął mężczyzna, gdy przeszli kawałek – nie chciałem być niedelikatny, ale... dobrze jest ustalić pewne fakty. Rosjanie?...

Nie uszło jej uwadze, ile treści włożył w to jedno słowo: Rosjanie. Treści oraz troski. Widać i jego doszły już słuchy o tym, jak poczynali sobie wyzwolicieli w mieście, które w całości uważali za swoją zdobycz, od wódki i zegarków, przez fabryczne maszyny, aż po ciała kobiet.

– Och, nie – odparła pośpiesznie. – Nie. Tylko nasi.

– Jak to? Za co?

– Mieli dużo pytań. A ja chyba miałam za mało odpowiedzi.

Dotarli bezpiecznie do rozległej przestrzeni jakiegoś placu. Część zabudowy leżała w gruzach, ale kilka kamienic wciąż stało. Podobnie jak okrągła fontanna otoczona skwerem. Jadze jak gdyby ktoś nagle zdjął z barków niewypowiedziany ciężar – znalazła w tej pustce swój punkt odniesienia. Zaczepienia. Mężczyzna w jasnym kapeluszu mieszkał przy Matthias Platz.

Schronili się w chłodzie bramy i weszli na pierwsze piętro. Rzeczywiście, drzwi otworzyła im Frau o nieustalonym nazwisku, starsza zasuszonego kobiecie w schludnym fartuchu. Sądząc po minie, nie była zadowolona, że niechciany współlokator przyprowadził

towarzystwo. Które na dzień dobry zachlapało jej parkiet krwią z rozbitego łuku brwiowego.

– Och. Gdzie moje maniery – mruknęła Jaga.

– Proszę się tym w ogóle nie kłopotać. Proszę, proszę dalej.

Zdjął jasny kapelusz, odsłaniając zakola wgryzające się dość śmiało w gęste ciemne włosy. Pod krzywym spojrzeniem Frau zaprowadził Jagę do jasnego pokoju i usadził przy stole nakrytym białą serwetą. Ktoś poświęcił wiele godzin, żeby ją wydziergać.

– Proszę się stąd nie ruszać. Głowa prosto, żadnych gwałtownych ruchów.

Ledwie zniknął w pokoju obok, gdy Frau bez słowa podeszła do stołu, ściągnęła serwetę i cofnęła się, przyciskając ją do piersi zaborczym gestem. Jaga nie poczuła się urażona – nie tylko dlatego, że chwilowo było jej wszystko jedno. Na miejscu Frau zrobiłaby dokładnie to samo. Szkoda zakrwawić tak piękną robotę.

Mężczyzna wrócił z lusterkiem laryngologicznym na czole i wielką powagą w spojrzeniu, za to bez marynarki. Zakasał rękawy. Koszulę miał czystą. Na ten widok Jaga uśmiechnęła się w myślach. Ależ ten los dobrze się ostatnio bawił.

– Zobaczmy... – Zasiadł na taborecie i całą uwagę skupił na obrażeniach, które znaczyły bladą twarz Jagi. Szczególnie zajął go rozbity łuk brwiowy. – Cóż, na tej materii wyznaję się średnio, ale na moje oko przydałoby się to chwycić paroma szwami. Frau... eee... Frau! – zwrócił się do milczącej Niemki. – *Du komm! Komm!... und bitte* nici. Ni. Ci!

– *Faden* – podsunęła litościwie Jaga, bo coś jej mówiło, że ilekolwiek razy by powtarzał te dwie sylaby, kobieta nijak się nie domyśli, o co mu chodziło.

– *Ah, ja... Warten Sie mal.*

– *Danke.*

– Pani mówi po niemiecku! – zakrzyknął ze zdumieniem.

– Po czym pan poznał? – Jaga palnęła odruchowo, zaraz jednak zrobiło jej się głupio, że drwi z człowieka, który ruszył z pomocą obcej przecież kobiecie. Był szczerze przejęty tym, co ją spotkało.

Na całe szczęście albo nie zauważył tej kpiny, albo miał znacznie więcej taktu niż ona.

– Och, co za ulga! – Złapał za skraj taboretu i przysunąwszy się bliżej, zniżył głos. – Miałbym do pani gorącą prośbę, panno... przepraszam, panno?...

– Jadwiga Bolesna. Chwilowo również obolała.

– Leopold Tupatajko, doktor nauk medycznych – przedstawił się uprzejmie. – Panno Jadwigo, gdyby była pani tak uprzejma i zapytała Frau... Frau, gdzie w tym domu znajdę prawidła. Moje zostały w Poznaniu. Przysięgam na Boga, szukałem wszędzie. – Rozłożył ręce, po czym opuścił wymownie. – Nie znalazłem!

– Nie?

– Nie!

– No coś takiego. Oczywiście, zapytam.

– Dobrze, w takim razie, zanim Frau wróci z tymi nićmi...

Wodzimy wzrokiem za palcem, proszę bardzo.

– Nie mam wstrząśnienia, jeżeli to pana martwi.

– Pani jest lekarzem, panno Jadwigo?

– Niestety, jedynie *in spe*.

– Do czasu, jak sądzę?

– Owszem. Poza tym jestem też córką lekarza. Jak ujęłaby to moja siostra, *status quo ante*.

Doktor Tupatajko uśmiechnął się dobrodusznie, bez cienia wyższości.

– W takim razie zapewne wie pani, jak niebezpieczne potrafią być nawet niepozorne urazy głowy. Proszę bardzo. Wodzimy.

– A więc jest pan poznaniakiem, tak? – zagała Jaga, śledząc wzrokiem jego palec, jak na posłuszną pacjentkę przystało.

– Skąd ten wniosek?

– Zostawił pan prawidła w Poznaniu – przypomniała uprzejmie.

– Czystym zrządzeniem losu, który uznał za stosowne tamtędy mnie poprowadzić w ślad za postępującym frontem. Owszem, przyjechałem tu prosto z Poznania, ale! – Uniósł dłoń i zaczął wyliczać: – Urodziłem się we Lwowie, dzieciństwo spędziłem w Warszawie, na lekarza kształciłem się w Wilnie, przed wojną praktykowałem zaś w Chełmie. Ot, taki ze mnie powsinoga.

Był od niej starszy, sporo starszy, widziała to teraz. Dziesięć lat jak nic, choć nie więcej niż dwadzieścia. Ale biła od niego niewiarygodnie krzepiąca energia człowieka nawykłego do czułego obchodzenia się z ludzkim sercem. Jaga miała wrażenie, że wciąga ją z każdym oddechem.

– Powsinoga, istotnie. Aczkolwiek raczej nie chirurg.

– Blisko, bo też dość krwawo, że się tak wyrażę. Specjalista od spraw sercowych – wyjawiał. – A pani, panno Jadwigo? Skąd pani jest bądź pochodzi? Bo raczej nie sądzę, by wyłoniła się pani z gruzów.

– Poniekąd... Jestem z Lipowej.

– To gdzieś na Mazowszu? Bo brzmi tak... mazowiecko.

– Och, nie, to na Kleinburgu. Tłumacząc na polski: Mały Bór. Borek.

– To pani jest...?

– Stąd. Z... cóż. Teraz już Wrocławia.

– Rozumiem – rzekł wreszcie, znów zamykając w pojedynczym słowie tyle treści i troski, że Jadze aż zakręciło się w głowie. – I co teraz? Co się pani marzy w tej nowej powojennej rzeczywistości?

– Och, nic wielkiego. Wystarczy mi zwyczajne życie.

Frau przyniosła igłę oraz nici. Jaga była dzielna i ani drgnęła, kiedy doktor Tupatajko zszywał jej łuk brwiowy, przepraszając co chwila za nieporadne ścięgi. Znalazła w sobie dość animuszu, by udzielić mu kilku praktycznych wskazówek. Lecz gdy podniosła się z krzesła, żeby pójść do łazienki, niezwłocznie wyszło na jaw, że jej nogi najwyraźniej miały inne plany. W ostatniej chwili chwyciła się stołu. Oraz samego Tupatajki.

– A jednak! – orzekł, pomagając jej usiąść z powrotem na krześle.

– To nic... nic takiego.

– Mowy nie ma, żebym panią stąd dzisiaj wypuścił – oświadczył zdecydowanym tonem. – Pani musi odpocząć, panno Jadwigo. Zaraz poprosimy Frau, żeby pościeliła w służbówce.

– My?

– Och, nie bójmy się tego powiedzieć. Ja się z nią nigdy nie dogadam!

Dalsze dyskusje z doktorem Tupatajką oraz nieposłusznymi nogami miały się z celem. Łóżko w służbówce zostało uroczyście pościelone. Było wąskie, lecz zaskakująco wygodne. Zwłaszcza dla kogoś, komu co rusz w głowie ruszała wesoła karuzela.

Frau przyniosła jeszcze Jadze świecę.

– Wiem, kim jesteś – odezwała się niespodziewanie po niemiecku, upewniwszy się, że doktora nie ma w pobliżu. –

Słyszałam o was.

– To dobrze.

– Dlaczego?

Żółte oczy wpatrywały się w nią spomiędzy obrzęku i świeżych skrzepów.

– Będziesz milczeć.



Najłatwiej było, gdy natknęli się na nogę. Albo rękę. Wtedy wystarczyło za bardzo się nie przyglądać. Brało się i niosło na furmankę, modląc się po cichu, żeby nic nie przeciekło po drodze.

Gorzej, gdy trafił się trup z twarzą. Nic tak jak twarz nie przypominało, że tu kiedyś w środku był człowiek.

Tego lata słońce dopisywało. Wiatr już gorzej, więc wszystko stało – w powietrzu, w gardle. Drapało. Po dwóch dniach zamieniła obszarpaną sukienkę na przyduże męskie spodnie, luźne, ściągnięte w pasie kawałkiem sznurka. I wpuszczoną w te spodnie koszulę, równie przydużą. Dla ochłody, dla swobody ruchu, gdy trzeba było się schylić albo zamachnąć. Dla ucieczki od lepkich spojrzeń. Włosy też przeszkadzały, plątały się, sklejały od potu i trupiej mazi, nie dało się ich potem domyc, żeby nie cuchnęły. Lepiej je było obciąć krótko, po męsku, i schować pod czapkę. Nos i usta przesłonić szmatą, żeby tylko oczy patrzyły na świat. Patrzyły, lecz nie przyglądały się za bardzo. Nie szło potem z siebie zmyć tego, co się zobaczyło.

Więc – gruzy. Pośród gruzów trupy. A na trupach muchy. Czarne tłuste roje czarnych tłustych much. Brzęczały nieustannie, rano, wieczór, we dnie, w nocy, na jawie i we śnie, nigdy nie przestawały brzęczeć. Aż głowa pękała od tego brzęczenia.

A może od wybuchających min?

Od strzałów?

Krzyków?

Może. Kto by zwracał uwagę.

Na jednym z podwórek jakaś kobieta rozgrzebywała ziemię gołymi rękami. Tam był jej syn, tłumaczyła. Tam go zakopała. Za kilka dni miała jechać do Niemiec, nie mogła go tu przecież tak zostawić. Musiała go pochować, jak należy, po chrześcijańsku. Na cmentarzu. Może by kto pomógł, dobrzy ludzie? Pomogła.

Tamten grób był płytki, jak wszystkie kopane pod ciągłym ostrzałem, więc upał i rozkład zrobiły swoje. Ciało rozchodziło się w rękach, rozłaziło. Ciało bez twarzy, za to z zapłakaną matką. Jeszcze późno w nocy wypierała ten płacz.

To chyba wtedy zaczęły wychodzić.

Z początku myślała, że to szczury. Wielkie szczury, o długich, grubych jak powrozy ogonach. Wiernymi stadami podążały za robotnikami odgruzowującymi miasto kwartał po kwartale, ulica za ulicą. Wracały, chociaż nie szcędzili im kamieni, czasem też i kul. Liczyły na jakieś smakowite kąski i rzadko kiedy spotykał je zawód. Nocami, gdy wszędzie wokół zapadała ciemność, urządzały sobie uczyty.

Ale nie. Stworzenia, które kryły się w załomach i szparach, które prześlizgiwały się między rumowiskami, które początkowo dostrzegała jedynie kątem oka, przypominały raczej białe węże. Były

jeszcze te ptasie – czarno-złociste – one przysiadają wysoko i przyglądały się pracy na gruzowiskach z niemalże ludzkim zainteresowaniem. Zbyt ludzkim.

Czasami opadało ją wrażenie, że nikt inny ich nie dostrzega. Że chodzą tylko za nią. Tylko za nią wodzą wzrokiem.

Obłąd.

Stworzenia stopniowo nabierały śmiałości i podchodziły coraz bliżej. Aż pewnego razu jeden z węży podpełznął i otarł się o jej kostkę. Zastygła z łopata w garści, przypatrując mu się z obojętnością. Był zaskakująco ciepły, miękki w dotyku. Aż chciało się w tej miękkości zatonać.

– Matylido!

Prawie zapomniała, że tak ma na imię. Jak brzmi ten głos, jak wygląda ta twarz i ten człowiek w środku. Pamięć ożywała bolesnymi skurczami.

– Matylido – powtórzyła Jaga z ulgą, od której aż ścisnęło ją w gardle, wpatrując się w przygarbioną sylwetkę siostry na szczycie rumowiska. – Ty żyjesz.

Matylida Bolesna zsunęła szmatę z twarzy.

– Chyba tak. – Czucie powoli wracało do jej ciała. Sztywnością pleców. Szorstkością gardła. Pieczeniem świeżych pęcherzy na dłoniach. Ściśniętym z głodu żołądkiem. Rwaniem niezagojonej rany. Aż się skrzywiła od tego natłoku bodźców. – Tak, żyję.

Rzuciwszy okiem na żołdatów, którzy kręcili się kawałek dalej, pilnując placu robót, Jaga zaczęła się ku niej wspinać.

– Szukałam cię, Matylido, rany boskie, ile ja ciebie szukałam... – trajkotała przy tym głośno, lecz gdy znalazła się tuż przy siostrze, natychmiast spoważniała. – Oni też cię szukają – zniżyła głos.

Wydawała się bledsza, szczuplejsza, poważniejsza, a jedną jej brew przecinała teraz czerwona kreska, której chyba tam przedtem nie było. A może była? Zresztą... czy to ważne?

– Milicja czy inne zbiry – ciągnęła tymczasem Jaga. – Ich zdaniem byłaś kochanką Hankego i powiernicą jego niebywałych tajemnic. Nie wiem jakich, wojskowych? Chyba nie sądzą, że planował przy tobie obronę miasta. Prędzej komuś się zamarzyło złoto Breslau.

Ptasio-ludzkie stworzenie, które siedziało na pobliskiej latarni, pochyliło łeb i rozpostarło nieco skrzydła. Czyżby słuchało?

– Rozumiem. – Głowa Matyldy opadła, a potem dźwignęła się z trudem w górę. – Wracaj do domu, Jaguś.

– A ty?

– Jeszcze nie mogę. Muszę tu skończyć.

– Co skończyć? – Jaga wpatrywała się w siostrę nierozumiejącym wzrokiem. – Co ty chcesz tu kończyć? Zamierzasz odgruzować całe Breslau? Jest koniec lipca. LIPCA. Zniknęłaś na ponad miesiąc, Matyldo, wyglądasz jak zdjęta z krzyża. Proszę cię, zostaw to, wracaj już do domu.

– Jestem tu potrzebna.

– Owszem, jesteś potrzebna. W domu.

– Do pchania wózczyka?

– Przestań. Słyszysz? Przestań. Nie wiem, w jakim utknęłaś koszmarze, ale musisz się z niego obudzić, Matyldo. W mieście szaleje tyfus, kładzie ludzi pokotem. A jak nie tyfus, to dyzenteria. Brakuje leków, wody. Matkę też dopadło, był taki moment, że... Jakoś doszła do siebie, ale został z niej cień. Mila pracuje za nie dwie, już nie wstaje od maszyny. A ja... Ja nic tylko biegam w tę i we w tę, żeby

jakoś ogarnąć, załatwić, wyzebrać coś dla nas, dla nich, dla wydziału, dla szpitala. No bo przecież kto jak nie panna Bolesna wyczaruje spod ziemi środki opatrunkowe, spirytus, igły, fartuchy, prześcieradła... Boję się pomyśleć, co to będzie jesienią, jak się zaczną zajęcia. Kto to wtedy wszystko ogarnie?

Matylda zmarszczyła brwi.

– Jakie zajęcia?

– Na wydziale. Lekarskim.

– Ty się wybierasz na studia?

– Tak. Chociaż sugerowano mi dość dobitnie, że mogę się nie dostać z uwagi na ledwie domniemaną polskość, ale... do diabła z nimi. Do diabła – powtórzyła dobitnie, z błyskiem przekory w oczach. – Jeśli nie na pierwszy rok, to chociaż na zerowy. Jak nie drzwiami, to oknem, czyż nie? Tak. Muszę spróbować. Muszę coś... zrobić, muszę coś zacząć.

– Po co?

– Po co? – powtórzyła Jaga z cichym śmiechem, w którym nie było nic z radości. – Po co? Jestem tą, która zaczyna, Matyldo. Nie rozumiesz tego? Nie mogę wiecznie martwić na dźwięk maszyny do szycia. Kurczyć się i tężeć jak zbliżowaciała tkanka. Ja tak nie mogę żyć, nikt tak nie może żyć. Nie. Nie, Matyldo. Nie zamierzam aż do śmierci być zakładniczką strupiałego miasta.

Dłoń Matyldy była szorstka i twarda. I silna, zawsze silna, a teraz silniejsza gniewem gorętszym od lawy. Ścięła zaskoczoną siostrę jak młode drzewko.

Jaga dźwignęła się z gruzów i przytknęła palce do brwi. Świeża blizna pękła w jednym miejscu, wypuszczając cienką strużkę krwi.

Nikt nie patrzył w ich stronę. Nikt nie widział. Jedynie ptasio-ludzkie stworzenie przestąpiło z nogi na nogę i zakwiliło tęsknie.

– Wracaj do domu – powtórzyła Matyllda suchym głosem, w którym chrzęścił piach i pył, i wycieńczenie ponad ludzką miarę.

Chwyciła łopatę i poszła przed siebie, zostawiając siostrę na rumowisku. Nogi prowadziły ją przez ulice miasta, przez błogosławione otępienie aż do ruin nad ruinami.

Jak gdyby przyzywały ją do siebie.

Matyllda Bolesna przystanęła i wzniosła pusty wzrok ku monumentalnemu szkieletowi katedry, który niezmiennie górował nad miastem. Kamienne głowy niegdysiejszych świętych teraz spoczywały na ziemi pośród gruzu i szkła, a zamiast nich z wyszczerbionych murów spoglądały na mojrę ptasio-ludzkie istoty. I gdy tak stała, ze wszystkich stron dobiegły ją dźwięki. Ni to płacz, ni to jęk, ni to szept przeciągły, powtarzający wciąż te same słowa rozpacz, brzęczący niczym roje czarnych tłustych much.

Do domu? Jak mogłaby wrócić do domu, kiedy oni wciąż tam byli?

Cios spadł niespodziewanie. Matyllda z okrzykiem bólu padła na gruz. Celny kopniak posłał upuszczoną łopatę daleko poza zasięg jej rąk i zbir o kwadratowej szczęce rzucił się na mojrę. Szarpnięciem przetoczył ją na plecy, przygwoździł do ziemi całym ciężarem zwalistego ciała.

Musieli za nią iść. Za Jagą. Przez cały ten czas, kiedy wędrowała ulicami Wrocławia, nie odstępowali jej na krok. Aż doprowadziła ich do siostry, której tak długo szukali.

– No proszę. – Drugi mężczyzna, szczupły szatyn, przystanął z boku i przyjrzał się szamoczącej się kobiecie.

Jej zakurzona czapka spadła, odsłaniając niezdarnie obcięte włosy i zapadniętą twarz, w której płonęły gniewem oczy o niewiarygodnie żółtych tęczęwkach.

– Niby taka sama, a jednak brzydsza od tamtej.

– Kurwa, co za smród... – Zbir splunął z odrazą. – Ty się myjesz, Niemro? Na co wam było to cholerne mydło, jak się nie myjecie?

Matylda nie krzyczała. Nie wzywała pomocy. Walczyła z zaciśniętymi zębami, szamotała się, całe siły wkładając w zmagania z cięższym od siebie mężczyzną. Byle uwolnić ręce, byle go z siebie zrzucić, a wtedy...

– Co? Co wierzgasz, co wierzgasz? – powtarzał niecierpliwie. – Pod nim też tak wywijająś?

Parsknął szyderczym śmiechem, bo uwięziona pod jego ciężarem kobieta naraz przestała walczyć. Przestała oddychać. Znieruchomiała niczym cicha myszka w kocich łapskach.

– Że niby przegryzłaby gardło, co? – wymamrotał i jedną ręką szarpnął za sznurek, którym była przewiązana. Nie zauważył, że choć Matylda Bolesna zastygła w bezruchu, to jej żółte oczy robiły się coraz większe.

I większe.

I większe.

Bo spalona katedra za plecami obu mężczyzn... rosła. Odrastała. Spośród dymu i ognia, i śniegu wystrzeliwały ku niebu mury roziskrzane witrażami i rozetami, smukłe łuki i filary, wieżby i stropy, rozkładały się nawy, wzbierał korpus, krypty rozlewały się zachłannie w głębi ziemi. Ledwie odrosły, zaczęły na powrót niknąć, kurczyć się – wpierw do przysadzistego romańskiego kościoła, a potem znów, jeszcze bardziej, aż do pogańskiej świątyni, do

zieleniących się traw, do moczarów, pradawnych uroczysk. Wszystko naraz. Po kolei. Jedno przez drugie. Na oczach mojej setki, tysiące lat tego miejsca wzbijały się tumanami, kłębiły, przelewały, łączyły i rozstępowały. A ona patrzyła w oniemieniu, w zachwycie i grozie, jak wykrwawione serce jej miasta zaczyna bić. Czuła wzbierającą wokół moc. Czuła budzący się głód. Niewyobrazalny pierwotny głód.

Prawie jej umknęło, kiedy za milicjantem wyrosło monstrum.

Prawie.

Wyłoniło się z ruin i czasu, z mroku i krwi, tak podobne do człowieka, a zarazem całkiem już nieludzkie, o bezwłosym łbie i drapieżnych, ostrych rysach. Wyprostowało się. Przeciągnęło z rozkoszą – i skoczyło.

Trzasnął łamany kręgosłup i bezwładne ciało szczupłego szatyna runęło na ziemię. Lecz sinoczarne szpony ani myślały się tym zadowolić, bo już sięgnęły dalej, już chwyciły drugiego zbira od tyłu za czaszkę, wpijając się głęboko w oczodoły. Szarpnęły, lecz nie tak, żeby zabić. Jeszcze nie. Stwór wcale się nie spieszył. Nachylił się nad oślepiionym człowiekiem i powoli wgryzł się w rozwrzeszczane gardło. Zachlupotało, zachrząściło. Odchylił łysy łeb i przez chwilę obracał z lubością ludzką krtań w paszczy, jakby to była chrząstka z piezzonego kurzego udka. Wreszcie mlasnął i przełknął.

Dopiero wtedy uniósł powieki – leniwie, jak gdyby budził się z długiego snu, i w pogorzeliśkach jego oczodołów rozżarzyły się dwa płynne bursztyny. Przez chwilę patrzyły wprost na Matyldę. Wpijały się w nią z nienasyconym.

– No proszę, proszę. – Tak ludzki głos w tak nieludzkim gardle, w nieludzkim ciele cuchnącym głodem i grobem. Cuchnącym tak

bardzo, że nawet stępione zmysły Matyldy stanęły dęba. – Piękna mała mojra w moim pięknym małym leżu.

Mimo bólu w obitych żebrach Matylda podźwignęła się z ziemi. Przejechała wierzchem dłoni po górnej wardze, żeby zetrzeć z niej pot i kurz.

– Nie boję się ciebie.

Monstrum wydało z siebie niski pomruk rozbawienia.

– Wiem. – Mięсистym językiem zlizowało krew z bezwargich ust. – Och, wiem. A teraz uciekaj stąd, mała mojro. Zanim i ciebie zjem.

Wielokrotnie próbowała sobie potem przypomnieć tamtą powrotną drogę przez miasto, jednak na próżno. Wracały do niej tylko krótkie obrazy. Czerwona od wysiłku twarz zbira nad jej twarzą. Żarzący się papieros w dłoni szatyna. Ruiny katedry. Jej ogrom. Żerujące monstrum. Drzwi domu przy Lipowej pięć. A w nich matka. Błada, zmizerniała po przebytej chorobie, przerażona widokiem najstarszej córki.

– Mama nie spazmuje – rzekła Matylda bezbarwnym głosem, przekraczając próg. – Jestem tylko trochę zmęczona.

Minęła matkę i poszła prosto do swojego pokoju. Zamknęła drzwi. Tak jak stała, w ubraniu i butach, cała we krwi i pyłe, położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

Muchy nadal brzęczały w jej głowie.



Matyldo?

Matyldo, otwórz drzwi.

Już nie mam sił. Chodzimy głodne, w domu wiatr hula, nie ma nawet komu drew narąbać. Albo chociaż gałęzi przynieść, żeby napalić w piecyku. Ja nie udźwignę, a Mila... z nią się dzieje coś złego. Nie pojmuję. Nie pojmuję, co się z nią dzieje, z moją maleńką. Ty byś zrozumiała, Matyldo. Musisz wyjść. Otwórz drzwi.

Jaga?

Przecież Jagi nie ma.

No jak to? Jaga wyszła za męża, nie pamiętasz? We wrześniu. Trochę nagle, ale czy w tych czasach warto na cokolwiek czekać, jak się złapie choć tę odrobinę szczęścia? To był taki piękny dzień, Boże drogi, jak ja się cieszyłam, że chociaż ona... chociaż ona... A teraz Mila. I ty w tym pokoju, zamknięta jak... jak pies już któryś miesiąc...

A bo ja wiem dlaczego? Bo ja pamiętam który? Nie mam już sił liczyć.

Tam ludzie umierają. Z głodu. Czy to sobie wyobrażasz? Żeby po wojnie takie rzeczy? Jakich ja czasów dożyłam, tego ludzkie słowo nie wypowie.

Nie mam sił do tego życia.

Nie mam sił.

Córeńko, błagam, otwórz drzwi.

Otwórz.

Czy ty tam jeszcze jesteś?



Czekał na nią pośród mroku nocy, siedząc na obramowaniu nieczynnej fontanny pośrodku Matthias Platz. Nie poznałaby go, tak

ludzko teraz wyglądał – złocista skóra, jakby wypieszczona słońcem, wąski nos, sklepione wysoko kości policzkowe, smukła sylwetka. Zdradził go ten bursztynowy głód w zielonych oczach, który rozbudził się na jej widok. Wciąż niezaspokojony.

– Księżyc świeci, martwiec leci, sukieneczka szach, szach, szach... Panienczko, czy nie strach?

Och nie. Panienczka się nie bała.

Wciąż miała na sobie tamte spodnie i koszulę, poźółkłe, zbrązowiałe od zaschniętej krwi, nic więcej. Żadnej kurtki, płaszcza, choć panował trzaskający mróz. Babrząca się rana na jej biodrze cuchnęła rozkładem, roiła się robactwem, a trupi jad sączył się i sączył żyłami do każdej komórki ciała. Tętnił w głowie. W sercu. W myślach. Nad nią krążyły siriny, czarno-złociste, pierzaste, ptasio-ludzkie, u stóp kłębiły się kasny o białych węzowych cielskach – upiorne larwy wylęgłe na trupach. Sama też wyglądała jak trup. Brnęła sztywnym krokiem przez zaspy, kulawa, zasłuchana w nieustanne brzęczenie czarnych tłustych much, i nawet nie czuła, że śnieg sypał jej się do sfatygowanych butów, a mróz kąsał bezbronne ciało.

Nie. Już jej tam nie było.

Strzygoń podniósł się spokojnie z kamiennego obramowania i jak gdyby nigdy nic uchylił kapelusza.

– Dość, mała mojro. Już wystarczy.

Czy go nie usłyszała? Czy wprost przeciwnie? W tej samej sekundzie dwa siriny wystrzeliły w jego stronę. Świdrującym wrzaskiem wieszczyły śmierć. Lecz nim zdołały choćby musnąć strzygonia, w ułamku sekundy rozpadły się w proch. Nawet ich żarłoczność nie mogła się równać z żarłocznością czasu.

– Dość – powtórzył niewzruszenie. – Nie pozwolę ci obrócić tego miasta wniwecz.

Jej sine usta przez moment próbowały rozciągnąć się w uśmiechu.

– Tego miasta już nie ma. Nie ma już niczego.

– Bzdura. Cokolwiek nadpiszą na tych zgliszczach kolejne pokolenia, cokolwiek tu wzniosą i obrócą w ruinę, to miasto będzie zawsze – i zawsze będzie moje.

Zaczął iść ku niej, miękko niczym kot ruszający na łowy. A gdy tak szedł, czas wokół niego wezbrał, zakotłował się – i zawrzał.

Wrocław.

Breslau.

Wratislavia.

Vratislav.

Miasto feniks, miasto strzyga. Płonęło w ogniu. Tonęło w bagnie. Padało pod naporem wroga. I za każdym razem wyrastało na nowo, za każdym razem wracało do żywych.

Ale nie z tobą. Nie. Z tobą.

I nim zdążyła pchnąć w jego stronę skłębione kasny, strzygoń zanurzył się miękko w kipieli czasu – i wystrzelił tuż za mojrą. Znów był tamtym potwornym, cuchnącym sinoczarnym monstrem o łakomych szponach. Trzymał ją i bezlitośnie wbijał w czas – gęsty, mulisty czas, nie przestając szeptać prosto do jej otępiełego, zamglonego umysłu.

Bo choćby ściągnęły tu tysiące, miliony ludzi gotowych je znowu podnieść z największych nawet ruin, ty ich wszystkich wysiesz do cna, moja ty mała głodna mojro. Wysiesz i strawisz w żarłocznych kwasach,

które w sobie nosisz, w tym gniewie i tęsknocie, w nieprzebranym, nieskończonym poczuciu winy.

– Nie – wyrzeźbiła, zachłystując się czasem.

Smakował oszałamiająco, żelazem i krwią, i potem, i pocałunkami, i słodyczą owoców tak dojrzałych, że rozpływały się na języku. Smakował życiem i śmiercią, pamięcią i zapomnieniem.

– NIE!

Tak. Winy. Przestań odwracać wzrok, mojro. Tych, którzy utopili to miasto w ogniu i krwi, nienawidzisz równie mocno co tych, którzy czynią je teraz własnym. Ale najbardziej, najmocniej, najgłębiej nienawidzisz siebie. Bo ty, która strzeżesz, nie ustrzegłaś nikogo.

Nie widzisz tego?

Nie czujesz?

Twoje serce pękło od tej winy i mocy. Pękło na dwoje.

Czujesz, mała mojro?

Z jej piersi wyrwał się skowyt bez końca, bez ukojenia, lecz strzygón nie puszczał. Przytłaczał ją, wgniatał coraz mocniej i mocniej w dno czasu, by zaraz wyrwać ku powierzchni. Siriny wyły, kasny szarpały, kąsały, a on nic sobie z tego nie robił.

Pożary. Gwałty. Zaraza. Szczury. Głód. Śmierć. Wszelkie nieszczęścia znane ludzkości. Dusze więdnące w cieniach wszechobecnych ruin.

To wszystko twoja sprawa, mała mojro o dwóch sercach.

Strzygo.

Mogilnico.

Jego ramiona zamknęły się wokół niej niczym żelazne obejmmy. Niczym groźba – i zarazem ukojenie.

Przestań – albo giń. Bo to jest moje miasto. Moje leże. I będę go bronić przed twoją zdziczałą mocą, choćbym miał cię rozszarpać.

Masz wybór, mojro.

Jeszcze go masz.

Terazniejszość mignęła jej przed oczami oślepiającym przebłyskiem. Tam ich zobaczyła, tam... czy wtedy? Jagę i jej męża.

To po nich tu przyszła, już nie mojra, jeszcze nie mogilnica, obłąkana od ruin i łez, wiedziona krzywdą i żalem. Jak ona śmiała? Jak śmiała żyć, kiedy tamci zginęli? Jak śmiała cieszyć się ulotną chwilą, kiedy ona nosiła w sobie nieskończoność własnej i cudzej rozpacz?

Szli przez Matthias Platz wydeptaną przez przechodniów ścieżką i rozmawiali o czymś z ożywieniem. On niósł jodełkę, niewielką i krzywą; ona tuliła do piersi pakunek w brązowym papierze, przewiązany sznurkiem. Nie wracali z Neumarktu, wszak Neumarktu już nie było – spoczywał pod ciężką pierzyną z gruzów, wspomnień i śniegu. Musieli kupić drzewko gdzie indziej, gdzieś, gdzie teraz spotykali się mieszkańcy zmartwychwstającego miasta. Młodzi małżonkowie, skostniali z zimna, a mimo to beztroscy i szczęśliwi w tę pierwszą wspólną Wigilię. Zmierzali do miejsca, które nazywali domem.

Jaga Bolesna znalazła swój nowy początek.

Pęknięte serce tej, która strzeże, skurczyło się z bólem, jaki niesie tylko miłość bez granic, gdyż oto w oczach ukochanej siostry ujrzała radość. Zaufanie. Spokój.

Czas opadł łagodnymi falami, wiek za wiekiem wracając na swoje miejsce. Strzygoń odetchnął głęboko, a potem przyciągnął oszołomioną Matyldę mocniej do siebie. Delikatnie, niemalże czule.

Zadrzała.

Zaszlochała.

Zadygotała z zimna.

Gdy spojrzała w dół przez gorące łązy, zobaczyła, że w znoszonych, rozpadających się butach ma świeży bielutki śnieg.



Kiedy wiosną następnego roku nadeszła odwilż, Mila wstała od maszyny, na której przez całą jesień i zimę przerabiała ponemieckie mundury na codzienną odzież, i od tej pory przez większość czasu krzątała się po ogrodzie. Tak jak dziś.

– Tirli, tirli, tirli-li, w pantofelku pełno krwi... – zanuciła, kiedy podniosła na moment głowę i dostrzegła kuśtykającą siostrę.

Rana na biodrze wreszcie się zagoiła, lecz szkód poczynionych przez infekcję i larwy nie dało się już cofnąć. Matyllda Bolesna powoli godziła się z myślą, że została jej pamiątka na całe życie. Ale nie tym przejmowała się teraz najbardziej.

Senne spojrzenie Mili prześlizgnęło się po niej, po czym najmłodsza mojra wróciła do kopania. Obok, na błotnistej ziemi, leżały kości. Zostały odarte z mięsa chyba przez jakieś zwierzę – sądząc po śladach zębów albo pazurów, tego Matyllda nie umiała określić – i ułożone w zgrabne stosiki, każdy zwieńczony czaszką. Ludzką czaszką.

– Nie patrz tak na mnie, Matylldo – obruszyła się Mila, kiedy przybyła w milczeniu podniosła głowę i spojrzała w jasną twarz

najmłodszej siostry. – Przecież ja ich nie zabijam. Ja tylko wiem, że umrą, i przychodzę ich grzebać. Papa lubi mieć towarzystwo.

– Więc kto ich zabija?

Mila tylko się zaśmiała w odpowiedzi. No bo przecież kto jak kto, ale Matylda powinna wiedzieć.

Tej nocy odczekała, aż siostra i matka zasną głęboko. Dopiero około drugiej w nocy wyszła z lampą przed dom.

Przez ostatnie miesiące nieustannie czuła jego obecność gdzieś poza zasięgiem wzroku, na skraju światła i cienia. I jeszcze coś. Coś, co w przypadku zwykłego człowieka wzięłaby za troskę.

– Długo tak będziesz tu krążyć i ogryzać kosteczki? – odezwała się śmiało w noc.

– Aż wszyscy zrozumieją przekaz – odpowiedział jej znajomy głos.

– Och, ja zrozumiałam, co chciałeś mi powiedzieć. Wrocław to twoje leże, strzygoniu. Niech ci będzie. Ale tutaj jest mój dom. MÓJ. Moje terytorium, państwo w państwie. Bądź łaskaw nie znaczyć go trupami.

Wkroczył w krąg bladego światła, które rzucała lampa w jej dłoni. W swej ludzkiej postaci, w kapeluszu i starannie skrojonym płaszczu, mógłby uchodzić za dżentelmena podczas niespiesznej przechadzki szlakiem dawnych wspomnień i sentymentów.

– Och, mała mojro. Dbam jedynie o to, by nikt więcej nie zakłócił spokoju twojego ducha.

– Zbytek łaski. Wystarczyło mnie zabić, upiorze – wytknęła drwiąco. – Wtedy, pod katedrą. Oszczędziłbyś tego zachodu i im, i sobie.

Strzygoń zaśmiał się tym swoim niskim aksamitnym pomrukiem.

– Zawsze zdążę, bez obaw. Poza tym... ciągną tu tak gorliwie, że aż żal nie skorzystać.

– Urządziłeś tu sobie żerowisko?

– Cóż. – Zaciągnął się głęboko zimnym marcowym powietrzem.

– Czarne legendy nie biorą się znikąd.

Zachnęła się i zawróciła ku drzwiom, gdy naraz przyszło jej do głowy pytanie, które nosiła w sobie od tamtego wigilijnego spotkania.

– Dlaczego mnie nie zabiłeś? Musiałeś widzieć już wtedy, w kogo... w co się przepoczwarzam.

– Byłem ciekaw.

– Ciekaw?! – Nie takiej odpowiedzi się po nim spodziewała. – Czego, na miłość boską?!

– Czy znajdziesz w sobie dość mocy, żeby zawrócić z tamtej ścieżki. Mocy... lub uporu – dodał.

– I co? – zapytała po chwili milczenia.

– Nie daj się zwieść. Ta próba nie ma końca. Ciało się goi, dusza nie. Niewiele trzeba, żeby blizna na twoim sercu rozeszła się i uwolniła to, co prawie cię pochłonęło.

Matylda Bolesna w zadumie skinęła głową. W końcu opuściła rękę z lampą, pozwalając, by mrok ślepego miasta znowu skrył drapieżną postać strzygonia.

– Nie bój się, mała mojro – usłyszała jeszcze. – Dochowam twoich tajemnic.

– Nie jestem małą mojram – rzuciła butnie w ciemność. – Jestem Matylda Bolesna.

Zadrżała, gdy musnął jej myśli z pieszczotą, która zdradziła więcej niż słowa.

Witaj, Matylido. Mam na imię Ramzes.



Matylida Bolesna otworzyła oczy.

Minęło sześćdziesiąt pięć lat, a ona nigdy nie zdradziła przed Jagą, że obłęd Mili zaczął się już wtedy, zaraz po wojnie. Ani też do czego się posunęła potem, żeby udźwignąć ten ciężar w pojedynkę i dać młodszej siostrze szansę na to, o czym marzyła najbardziej. Na zwyczajne życie. Bo w tym zwyczajnym życiu Jagi, w tak upragnionym przez nią nowym początku, Matylida znalazła nie tylko ratunek dla swojego człowieczeństwa przed bezpowrotnym obróceniem się w mogilnicę. Ujrzała również własny punkt zaczepienia.

Na początek znalazła pracę. W szkole, choć trudno to było nazwać szkołą z prawdziwego zdarzenia – ot, cztery pomieszczenia, a w nich blisko czterysta dzieciaków i ledwie ośmiu nauczycieli, którzy popołudniami wtłaczali podstawy wiedzy do opornych nieco młodych głów. Nikt nie nazywał jej Niemką, kiedy się zgłosiła. Teraz była autochtonką, wysepką w morzu obcego narodowo żywiołu, świadectwem piastowskich początków tych ziem. Rękami gotowymi do pracy.

Matylida nieszczęśliwie odnajdywała się w objaśnianiu tajników elementarza i rachunków, ale cóż. Jak się przekonała, żeby zaczepić się w gimnazjum i uczyć łaciny, brakowało jej praktyki zawodowej.

I przede wszystkim konkretnego wykształcenia. Dlatego wiosną czterdziestego szóstego roku, kiedy matka wróciła do pełni sił i mogła mieć oko na Milę, Matylda zaczęła pielgrzymować na uniwersytet. Codziennie, każdego ranka. Tak długo wkradała się na wykłady, tak długo spierała się ze wszystkimi świętymi w trzech znanych sobie językach, aż została wpisana na listę przyszłorocznych studentów wydziału humanistycznego. Jako pierwsza – nie tylko z przyczyn alfabetycznych.

– Pani się nigdy nie poddaje? – zapytał na odchodnym jeden z adiunktów, którego kolejny już raz zagięła doskonałą znajomością gramatyki łacińskiej.

Cóż, jemu i tak się upiekło. Czego nie mógł już powiedzieć kolega, sromotnie pokonany w tematyce wiersza saturnijskiego oraz kombinacji jambiczno-daktylicznych w twórczości Horacego.

– Nie, proszę pana – odrzekła Matylda Bolesna z głową wysoko w chmurach. – Obawiam się, że jestem naprawdę bardzo uparta.

Chociaż teraz, licząc sobie więcej lat, niż kiedykolwiek zamierzała przeżyć na tym łez padole, musiała przyznać, że nawet jej upór miał swoje granice.

– No dobrze – westchnęła, wygrzebując się na dobre z przytulnego łóżka. – Pax. Pax między chrześcijany.

Opatuliła się ciepło i z nieodłączną od sześćdziesięciu pięciu lat laską wyszła przed dom.

Był wczesny wieczór i na ich ulicy panowała błoga miękka cisza. Wielu sąsiadów rozjechało się po rodzinie, świętować pod cudzym dachem, i tylko w nielicznych domach paliło się teraz światło. Średnia mojra stała pod drzewem i grabiejącymi z zimna palcami

szarpała się z cienką foliową paczuszką. Cedziła przy tym wyszukane przekleństwa, trochę wbrew okolicznościom.

– Jadwigo Bolesna. Dzielisz się opłatkiem z wisielcem.

– Dzielę. A kto mi zabroni?

Matylda wzniosła tylko oczy ku nocnemu niebu.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że gdybyś nie dzieliła się z nim opłatkiem co roku, to może przestałby tu wisieć?

– Przyszło.

– Daj mi to. – Najstarsza mojra pokręciła głową. – Nie widzisz?

Tu się otwiera, ślepa wrono.

– Ależ dziękuję, stara czapło.

Stały tak jeszcze długo, dwie mojry, dwie siostry związane miłością bez granic i błędami bez odwrotu, ciesząc się razem ciszą wigilijnego wieczoru i miękkością padającego śniegu.

* – Marność nad marnościami i wszystko marność.

** – (niem.) „Kto mój dźwięk usłyszy, czy późno, czy wczas, do Pana Boga zwróci swój głos” – fragment niemiecko-łacińskiej inskrypcji, która widniała na Dzwonie Grzesznika.

*** – Przyzwyczajenie jest drugą naturą.

Redakcja: Piotr Chojnacki
Konsultacje opowiadania *Toten Räume* dot. j. rosyjskiego:
Joanna Krystyna Radosz, Jacek Falejczyk

Korekta: Magdalena Matuszewska, Angelika Kuch, Martyna Olewska
Projekt okładki, ilustracja wykorzystana na I stronie okładki: White Doe
Skład i łamanie: Cyprian Zadrożny
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydrukowano w Polsce

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m 3
biuro@wydawnictwomieta.pl
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67341-52-3